

Tajemnice  
Wyspy Wielkanocnej

Bitwa  
pod Dubienką

Duch  
księżnej

# poszukiwania



Nr 07/2017 (34) lipiec 2017  
[www.poszukiwania.pl](http://www.poszukiwania.pl)

PIERWSZE ODKRYCIA  
Z I WOJNY ŚWIATOWEJ

**Redaktor naczelny:**

Rafał Kruk  
[kruku@poszukiwania.pl](mailto:kruku@poszukiwania.pl)

**Zespół redakcyjny:**

Weteryna  
Mariusz Bąk  
Marek Kulig  
Niuniek  
Tom  
Robert Winkler

**Współpraca:**

Yedyny  
Andrzej Szutowicz

**Zdjęcie na okładce  
i zdjęcia w artykułach,  
o ile nie zaznaczono inaczej:**

archiwum Portalu  
Poszukiwania.pl

**Reklama i Marketing:**

[redakcja@poszukiwania.pl](mailto:redakcja@poszukiwania.pl)

**Redakcja:**

[redakcja@poszukiwania.pl](mailto:redakcja@poszukiwania.pl)

**Reprodukcja i przedruk  
wyłącznie za zgodą autora.  
Gazeta działa na zasadach  
dziennikarstwa obywatel-  
skiego otwierając swoje łamy  
dla każdego autora.**

**Redakcja zastrzega sobie  
prawo do redagowania  
i skracania dostarczonych  
tekstów.**

**Redakcja nie ponosi  
odpowiedzialności za  
treść reklam i artykułów  
sponsorowanych.**

*Każdy miłośnik historii czy też poszukiwacz tajemnic wiele czasu spędza na wędrówkach. Odwiedzamy ciekawe i tajemnicze miejsca, wchodzimy tam gdzie przeciętny człowiek nie widzi sensu żeby się wciskać. Wielu naraża zdrowie, a niekiedy i życie aby poznać nową tajemnicę.*

*Na szlaku przygody poznajemy nowych ludzi, zawieramy ciekawe znajomości i przyjaźnie. Godziny spędzone przy ognisku na opowieściach skarbowych zapadają wszystkim głęboko w pamięci. Dlatego pomimo różnic jakie nas dzielą traktujemy się z szacunkiem. Żeby przy kolejnym ognisku można było znów wspólnie zasiąść i snuć miłe dla ucha opowieści.*

*Czekam na Wasze opinie i sugestie.  
Piszcie do mnie [kruku@poszukiwania.pl](mailto:kruku@poszukiwania.pl)*

*Rafał Kruk*

## SPIS TREŚCI

4	Pierwsze odkrycia z I Wojny Światowej	59	Tajemnice Wyspy Wielkanocnej
8	Szaber	63	Amunicja strzelecka. Dania
12	Inny dzień	67	Odkrycie pradziejowego centrum kultowego w Egipcie
15	Duch księżnej	70	Bitwa pod Dubienką
19	Tajemnice zamku w Pasłęku	72	Bitwa pod Guzowem
23	Ordery, odznaki, odznaczenia – Austro-Węgry	75	Bitwa warszawska 1656 roku
26	Germanie na terenach dawnej Polski	78	Pogrom Żydów w Jedwabnem
30	Odkrycie przez Polaków pozostałości antycznego kościoła w Albanii	85	Zakończenie oblężenia Warszawy
33	Archeolodzy odkrywają tajemnice średniowiecznego szpitala	88	Konferencja w Poczdamie
35	Poszukiwanie reliktyw średniowiecznego kościoła	90	Pokój w Tylży. Powstanie Księstwa Warszawskiego
37	Żegluga na Nilu w starożytnym Egipcie	98	Początek potopu szwedzkiego
40	Odkrycie na Śródcie	102	Śmierć Władysława Sikorskiego
42	Polscy nurkowie odkrywają tajemnice Inków	104	Podpisanie aktu Uni Lubelskiej
45	Lubuszenie – zapomniane słowiańskie plemię	109	Wizy turystyczne dla Polaków
48	Monety Jana Kazimierza 1649 – 1668. Cz. 3	113	Japońska ikona luksusu
55	Arabia – niedoceniona potęga starożytnego świata		

## Pierwsze odkrycia z I Wojny Światowej



I Wojna Światowa nigdy specjalnie mnie nie interesowała. Być może było to spowodowane tym, że w bliskiej odległości zamieszkania niewiele się z tego okresu działo, a to co było wiadome zostało już dokładnie przez lata spenetrowane.

Czasami zapuszczając się na jurę w moje ulubione miejsca wyciągałem pamiątki po wydarzeniach z 1914 r. Poruszając się szlakiem zagubionych przez rolników monet, wyciągałem z ziemi łuski, szrapnelówki, jakieś fragmenty

oporządzenia czy również czasami osobiste pamiątki noszone w kieszeniach przez żołnierzy.

Nie były to jednak miejsca wielkich bitew, ot takie miejscowe potyczki, nic nie znaczące na mapie wielkiej wojny.

Dopiero zupełnie przypadkowy wyjazd w nowy teren, o którym słyszało się wiele razy, że na polach nie ma zupełnie nic, zmienił mój stosunek do pamiątek z okresu IWS.

Miejsce wybrane do eksploracji było naprawdę zupełnie przypadkowe. Zatrzymaliśmy samochód na polu, które nadawało się do tego idealnie. Przygotowaliśmy sprzęt i mieliśmy ruszyć na podbój pola leżącego obok naszego „parkingu”. Nieświadome uruchomienie sprzętu dało nam pierwszy sygnał w odległości 2 m od auta. Z doświadczenia wiedziałem, że powinienem wyciągnąć źródło sygnału. Przez ostatnich kilka wyjazdów zawsze koło auta wyciągałem monety. Jednak tym razem moją zdobyczą była ołowiana, mała kuleczka zwana popularnie szrapnelówka. Po tym odkryciu wiedzieliśmy już co może nas czekać na okolicznych polach. Będąc wytrwanymi kopaczami zaczęliśmy wybierać stopniowo ołowiane kulki. Czas płynął nieubłaganie, a kieszenie zaczęły nam już ciążyć. Przeszliśmy całe pole i prócz szrapnelówek nie udało nam się odkryć nic innego. Wróciliśmy w to miejsce bardzo szybko. Ponownie weszliśmy na pole i znów pokazały się kuleczki. Tym razem już było zdecydowanie lepiej. Udało nam się oprócz kulek wyciągnąć kilka guzików, klamerek od plecaków, a nawet osobiste pamiątki walczących w tym miejscu żołnierzy.



Miejsce to bardzo się nam spodobało. Było nowym punktem na mapie jurajskich potyczek. Wiedzieliśmy już, że nikt wcześniej tam nie był, nikt nie wiedział o tym polu. Zaczęliśmy więc zwiększać zasięg naszych działań. Po drugiej stronie drogi były pola uprawne. Weszliśmy na nie, pytając wcześniej przebywających na nich rolników o zgodę. Oczywiście zgodzili się bardziej z ciekawości, niż życzliwości do poszukiwaczy. Gdy zobaczyli czego szukamy i co wyciągamy nie bardzo potrafili zrozumieć po co marnujemy swój czas na takie rzeczy. A my oczywiście znów zaczęliśmy wyciągać

szrapnelówki. Jednak kilkanaście metrów dalej, już za polami uprawnymi pojawiły się inne znaleziska. Wyszły pierwsze łuski oraz „czubki” z naboju. I znów zaczęły napęcznieć się kieszenie, które bardzo szybko okazały się za małe.



Po kilku wyjazdach udało nam się wyczyścić z IWS całą okolicę. Wówczas ja postanowiłem sprawdzić pola leżące jeszcze dalej. Efektem mojej wędrówki były monety, tzw. Boratynki. Nie była to może jakaś ilość przeogromna, jednak kilka sztuk z jednego pola również potrafi sprawić radość.

Wiedząc już, że w tym miejscu nic nowego nie powinno się pokazać zacząłem szukać nowych miejsc w okolicy. I tak trafiłem na historie o cmentarzu wojskowym z IWS, który został zniszczony i zapomniany. A skoro był cmentarz, to musiały być pochowane ciała. Skoro ktoś poległ, to musiała być w okolicy jakaś większa potyczka. Wybraliśmy się tym razem już nieco większą grupą aby zbadać ten teren. Wędrując lasami trafiliśmy na masyw skalny otoczony okopami. Pierwsze wrażenia były mizerne. Wyszła nam tylko jedna łuska, co na poświęcony czas, jak i liczbę kopających było wynikiem niezbyt efektownym. Sytuacja zmieniła się dopiero po obejściu masywu. Łuski pierwszowojenne pokazały się w naprawdę zadowalających ilościach, koledzy trafili na miejsce dawnej latryny, z której to wrócili bogatsi o garść guzików ... kalesonowych. Udało się również trafić jedyną na tym terenie monetę Austro-Węgierską.

Powrót po kilku dniach w to miejsce okazał się dla nas bolesny. Okazało się, że jest to teren prywatny i właściciel nie był zachwycony naszą

obecnością na nim. Jednak po rozmowie, nabrał do naszej grupy przekonania i pokazał nam inne ciekawe miejsca.



Łąka pokazana nam przez sympatycznego Pana zawierała duży ładunek energii. Stosunkowo płytko pod ziemią odkryliśmy olbrzymi skład

łusek w idealnych stanach zachowania. Ze wstępnych wyliczeń wciągu ok. 2-3 godzin wyciągnęliśmy prawie 1000 szt. Był to ostatni wyjazd jesienny, potem nastąpiła zima, która wygoniła nas z terenu jury.

Na wiosnę wróciłem na ten teren aby sprawdzić stare pola czy przypadkiem nie zawieruszyły się na nich jakieś monетки. Wszedłem na łąkę i okazało się, że na niej również zamiast monet znajdują się pamiątki wojenne.

W ten sposób odkrywając nieznane miejsce związane z I Wojną Światową zainteresowałem się tym okresem. Wiele nauczyłem się wyciągając i opisując znalezione przedmioty. A jeszcze bardziej jestem szczęśliwy z tego, że wraz z kolegami przywróciliśmy zapomnianą historię tej miejscowości.



# NOWOŚĆ



*Prawdopodobnie najlepszy wykrywacz na rynku!*

- Najlepsze parametry i osiągi
- Uniwersalny - do każdego poszukiwań
- Wodoszczelny do 3m
- Konkurencyjna cena



Treasure Master

POLECAMY TAKŻE:



Treasure Pro

ul. Radna 6, 00-341 Warszawa tel./fax: 22 829 84 80 [viking@viking.waw.pl](mailto:viking@viking.waw.pl)

## [www.viking.waw.pl](http://www.viking.waw.pl)

NAJWIĘKSZY WYBÓR OD 1998 R.

## Szaber



Październik 1945, Jugowice Górne.

Już ponad miesiąc gospodaruje na dzikim zachodzie, coraz więcej Polaków przybywa do wsi, a w pobliskim Walimiu Zakład Lniarski zatrudnia coraz więcej ludzi, jednak Niemcy mieszkają dalej z nami na pół w domach. W fabryce pracuje się pod niemieckimi majstrami, Polska Ludowa nie ma specjalistów ani fachowców we włókiennictwie, oni szkolą nas i uczą wszystkiego. Trzeba przyznać, że pracować to oni umieją bardzo dobrze. Większość napływających ze wschodu nie umie czytać ani pisać, a co dopiero mówić po niemiecku, więc komedie rozgrywają się codziennie.

Do pracy z Jugowic chodzimy z bronią, ja mam mausera, można nosić broń, komendant Kunicki mówi, że bandy są w górach, każdy powinien mieć broń.

Dziś niedziela, zaraz przyjdą do mnie Grzeško i Wójcik z Nosalem, będziemy grać w karty,

wybudowałem taki domek duży ze stołem na drzewie, samogon już przerobiony dwa razy czeka. Wyszedłem na drogę przed gospodarkę zapalić sobie papierosa, znalazłem cały wagon Juno u Rajnolda w skrzyni, krzyczał, wyzywał ale ja szwabiska nie słucham mało się przez nich nacierpiałem w obozach. Palę sobie tego papierosa Juno, w Balicach w junakach paliłem też takie same, ale czas biegnie szybko myślę sobie, pod lasem germaniec orze pole, chociaż to prawie końcówka października, ale piękna pogoda dziś to się wcale frycowi nie dziwi.

Skończyłem palić, patrzę na góry i złote lasy ale fryca na polu nie ma, widzę, że koń stoi a jego wcięło, a nie, jest chodzi po miedzy. U nich jak po orce są kamienie na polu to dzieciaki i kobity zbierają je i układają na miedzy między polami także takie łańcuszki kamieni są w górach od lat. W tych kamieniach mają takie piwniczki, gdzie jak idą w pole pracować to chowają tam jedzenie, mleko, przerwa w robocie wyciągają i wcinają. Szwabisko kręci się po tej miedzy jakby miał się zes... zaraz, śmiać mi się chce z jego ruchów. Śmieję się ale powoli mi coraz mniej do

śmiechu, on otwiera takie drzwi z ziemi tej piwniczki rozgląda się dookoła nerwowo i do konia, a na wozie pakunki i dawaj do tej nory pakuje. Skończył pakować i koniem pod las i tam z lasu na wóz i do piwniczki na miedzę. O rany boskie, toż to szaber niesamowity, czekam jak fryc jedzie pod las to ja siup drzewami do miedzy. Otwieram tą dziurę, a tam walizek od groma, wielkie kufry, beczki i walizki na wierzchu takie 4 metalowe walizeczki, wiec co się tam będę zastanawiał, bach i w moim ręku trzymam taką małą żelazną walizeczkę. Nagle jak piorun wrzask głośny.



-HALT!!!

Stoję jak wryty serce mało mi z piersi nie wyskoczy.

Z choinek wyskakuje dwóch mężczyzn, patrzę psia jucha Empi w łapach, ale po cywilu nie w mundurach. Rany boskie, klapą pieprzałem, walizeczkę w rękę i w nogi. Biegnę co sił w nogach, a oni za mną młodzi ćwiczeni byli. W pewnym momencie strzał jeden, drugi w powietrze, o Wojtuniu to nie zabawa, co oni ode mnie chcą, że w biały dzień strzelają. Walizeczka, przez łeb mi przeszło musi być cenna skoro mnie gonią. O to ja jeszcze szybciej gałęzie mnie po pysku biją ale uciekam ile sił. Świst koło ucha, o żesz ty prują do mnie, ubijają mnie jak psa, drugi świst na głowę puszczam tą walizeczkę. Cisza oglądam się jeszcze w biegu jeden chwyta ją i zwracają mnie dają spokój. Cały się trzęsę, zalatuję do dolnego Walimia koło zakładu drzewnego, jedna myśl na posterunek do milicji dawaj biegiem, o nie giermańcy zaraz tu będzie z wami porządek. Wpadam na posterunek Walimia, od razu w progu krzyczę:

- Panie Kunicki, komendancie !!! Banda w górach, strzelali do mnie, wielki szaber kryją.

- Gdzie!!!!

- Jugowice Górne pod lasem koło studni na miedzy.

Mobilizacja pełna już milicjanci motor odpalają, ja z komendantem w jednym, dwóch w drugim.

- Wojtek, a ty masz karabin!!

Pyta mnie Kunicki

- Ze sobą nie mam teraz.

- Bierz ten ze stojaka i dawaj do przyczepki wskakuj.

Prujemy ile maszyna daje.

Jesteśmy na miejscu. Patrzę a na polu ani starego szwaba ani konia z wozem już nie ma. Kiwam ręką na miedzę, a piwniczka pusta trochę widelców tylko i łyżek i rozbity jakiś dzbanek na dole.

- Skurczybyki, schowali jak do was biegłem - Mówię do Komendanta.

- Wojtek, a ty pamiętasz, który to Szwab to chował.

- Pewnie dawaj do niego do chałupy.

W chacie siedzą wszyscy w kuchni jedzą obiad jakby nigdy nic. Wchodzimy, miny mają grobowe.

- Ten tym wozem z pod lasa jeździł!!!

- Wstawaj Gunter!! Gdzie to wszystko jest co Wojtek mówi - Kunicki pyta Niemca.

- Śpiewaj mi tu niemaszku kto cholera strzelał dziś do Szczeciniaka.

Fryc, cisza, nie rozumie, nic nie wie, mnie dziś w ogóle nie widział.

Nagle jak mu nie wyróżnie w pysk Kunicki, aż pod stół spadł.

- Gadaj Szwabie, dużo takich jak ty pod Kołobrzegiem utłukłem.

Poprawka jeszcze raz tym razem kolbą po żebrach.

Niemiec zajązowany, Niemki krzyczą, ale zmiękł.

Prowadzi do stodoły, siano widłami zrzucamy jest wóz a na wozie te beczki com w piwnicy widział i kufry, walizy cały wóz ależ tam tego było.

- Konia zaprzęgać i na komisariat wszystko. Decyduje Komendant.

Niemiec służalczo wkłada homonto, zaprzęga. Wskoczyłem na wóz prycham, no nie ma nie ma tych walizeczek metalowych małych i tej cożem puścił w lesie.

Mówię Kunickiemu, że to nie wszystko. Tu były jeszcze 4, może pięć walizeczek metalowych.

- Wołaj posterunkowy Niemca mi tu raz dwa.

Idzie milicjant z nim a on płacze, że nie wie kto strzelał, że mu kazali wozić to z lasu do piwniczki, on nie wie kto, powiedzieli, że jak nie posłucha to go spalą i zabiją z rodziną, że jak ja uciekałem to ci dwaj przyszli z lasu załadowali to co jest na wozie, a te małe walizeczki zabrali, powiedzieli, że jak tylko cos powiem w nocy przyjdą i zabiją, mam pamiętać, że tu Niemcy niedługo wrócą.

- Patrz Wojciech ileż tego jest, chodź na posterunek wybierzesz sobie parę rzeczy, przecież to twa zasługa, że ten szaber jest nasz - skwitował Kunicki.

Łukasz Kazek

- A te walizeczki? - pytam

- A daj spokój z walizeczkami tu tyle dobra, że nie będziesz pokrzywdzony.

Dwa dni później poszedłem na komisariat, porcelany z beczkami na stole stało mnóstwo i zastaw, były też srebrne tace z łyżkami i widelcami. Dał mi komendant jedna taka tace i zegar z kukułką, wziąłem sobie też trzy nowe garnitury.

- Reszta idzie pomiędzy milicjantów i sekretarza na zakładzie, a to co zostanie do Wrocławia.

Wróciłem do chałupy, matka lament coś ty narobił, ale jak dałem ojcu garnitur, matuli tacę to lament się skończył.

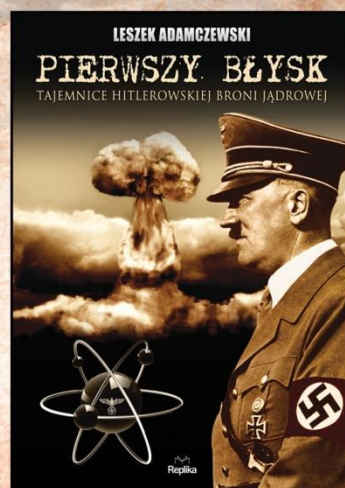
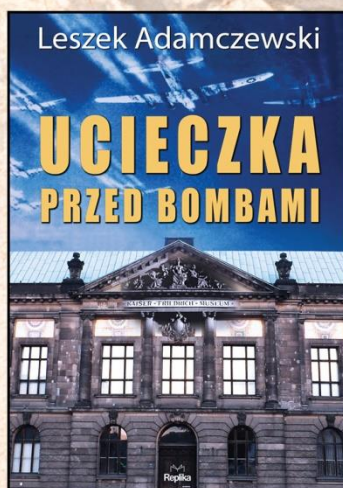
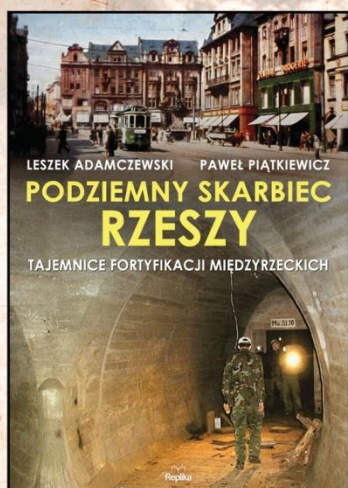
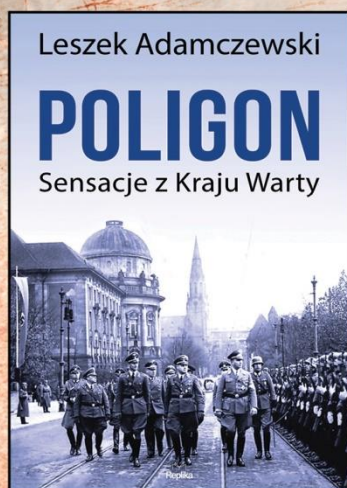
Zastanawiam się ciągle po dziś dzień co było w tych walizeczkach, w tej co ją musiałem zostawić bo by mnie zabili, czemu mnie gonili i strzelali. Po dziś dzień myślę sobie jaki ja byłem durny w ten czas, zamiast uciekać do wsi z tej między to ja w las, może i bym miał i wiedział co w 1945 roku w październiku zmuszony byłem porzucić w lesie oraz kim byli Ci co mnie gonili.

Relacja ta to jedna z wielu jaką po sobie pozostawił mi mój dziadek Wojciech Szczeciniak zmarł w 2001 roku miał 76 lat.

# SKARBY, ZAGADKI, MROCZNE TAJEMNICE HISTORII



**WKRÓTCE**



## Inny dzień



Chyba wtorek. Nie wiem. Dzień jak każdy inny. Straciłem rachubę. Wakacje są, szczęśliwi czasu nie liczą... Ktoś kiedyś powiedział, że każdy nowy dzień jest szansą na to żeby wszystko zmienić. Ja bym powiedział, że szansą na to żeby odkryć coś nowego...

Wiem już dokładnie gdzie to jest. Zgromadziłem wystarczająco dużo informacji. Mapy, mity, opowiadania innych. Nigdy się nie dowiem jeśli sam tego nie sprawdzę. Fakt, wybieram się tam już od tygodnia. Rzecz jasna rowerem. Ta miejscowość to taki wygwizdów, że inny środek transportu nie wchodzi w grę. A więc

postanowione: nie czekam dłużej i wyruszam właśnie dzisiaj! Ekipę na każdą wyprawę miałem stałą, do czasu kiedy się nie rozleciała... Było dobrze dopóki trzymaliśmy się razem, aktualnie każdy poszedł w swoją stronę. Mimo to nie narzekam, mój obecny kompan przynajmniej nie plecie bez przerwy o nowych modelach odtwarzaczy mp3 dostępnych na rynku. Było mi trzeba właśnie kogoś takiego jak Filip. Trzeźwo myślący, łebski i jednocześnie na tyle szalony żeby się tam ze mną wybrać. To co wziąłem: komórka, aparat i... optymizm, a właściwie nadzieja na to, że coś znajdę. Wsiadłem na rower i spojrzałem na zegarek była 16.10. Spotkanie z

Filipem, standardowe przywitanie, wyruszyliśmy. Droga była dość długa i ciężka. Jechałem jako pierwszy, za mną mój kumpel na swoim „wymiatacz szos”. Filip z reguły tylko mi towarzyszy. Chodzi mi o to, że na ogół nie jest zbyt dobrze zorientowany. Nie wie nic o miejscu, które mamy zamiar odwiedzić, ani co właściwie spodziewamy się w nim zobaczyć. Ale zauważyłem, że ostatnio zaczyna się coraz bardziej tym wszystkim interesować. Przyznam, że nawet mnie to cieszy.



-Bartek, te koleiny wyglądają jak leje po bombach!

-Bombach powiadasz? che, che...

Po godzinie i dziesięciu minutach byliśmy już na miejscu. Uroczym położone jezioro na południe od miasta powiatowego. Stary, zalany wodą kamieniołom z XIX wieku. Błoga cisza...

-Ciekawe czy 60 lat temu było tu tak spokojnie...- pomyślałem.

Nabrałem powietrza w płuca i głośno je wypuściłem. Spojrzałem na mojego towarzysza. Widać było, że jazda trochę go zmęczyła, podobnie z resztą jak i mnie. Nie zastanawiając

się dłużej, zostawiliśmy rowery na uboczu i rozpoczęliśmy mały rekonesans po brzegu. Woda znacznie obniżyła swój poziom, ziemia wokół niej była wilgotna i miękka.

- Ale błoto – powiedziałem

- No, ale Ty w swoich wojskowych butach po dziadku doskonale sobie poradzisz. Ja nie wchodzę tam w swoich adidasach – odparł.

Przyznam, że z mojego obuwia byłem wyjątkowo dumny. Kawalek dalej poszedłem sam. Rozglądałem się uważnie. Nagle zobaczyłem coś leżącego na ziemi. Filip popatrzył na mnie pytająco, a ja uśmiechnąłem się do niego, a potem schyliłem się i to podniosłem.

- Wygląda na lotkę od pocisku moździerzowego. Jest mocno skorodowana- powiedziałem.

- Nieźle! Wszystkie fanty jakie znajdziemy składajmy w jedno miejsce, dobrze? – zaproponował.

Podąłem mu więc lotkę, a on zaniósł ją kilka metrów dalej i położył pod drzewem.

Zachęcony tym znaleziskiem, nie zwracał już uwagi na swoje buty i dalej szliśmy razem. Okrążyliśmy całe zrzutowisko kilka razy, przypatrując się każdej kępce trawy i badając wzrokiem każdy podejrzany zakątek bajora.

- Myślisz, że coś jeszcze dzisiaj znajdziemy? – zapytałem, ale nie usłyszałem odpowiedzi. Zaniepokojony, obejrzałem się za siebie. Filipa nigdzie nie było. Wystraszony już nie na żarty, że coś mogło mu się stać, zacząłem go szukać. W zasięgu mojego wzroku nie było żywej duszy.

-Gdzie jesteś?! - krzyknąłem. Odpowiedziało mi echo. Pobieglem kilka metrów przed siebie i powtórzyłem zawołanie. Bez skutku.

-Gdzie on się podział do diabła?! Kiedy moje nerwy były już u kresu wytrzymałości

zauważyłem go. Stał nad brzegiem jeziora i uparcie wpatrywał się w jeden punkt.

- Zwariowałaś?! Czemu się nie odzywasz?! – wrzasnąłem i w tej samej chwili spojrzałem w dół. To, co leżało na ziemi przyprawiło mnie o przyjemny dreszcz. Pełno łusek w idealnym stanie, można było nawet odczytać ich bicia.

- Łuski do rosyjskich i niemieckich dział przeciwlotniczych – oznajmiłem tonem znawcy.- Jest tu między innymi kal. 20mm. Jestem pod wrażeniem, ale mogłeś się odezwać jak Cię wołałem!

- Nie byłem w stanie wykrztusić słowa....No i chciałem Cię nastraszyć.

- Nigdy więcej tego nie rób.

grzyby! Tyle fantów bez jakiegokolwiek sprzętu! Wyciągnąłem aparat żeby porobić kilka fotek . W końcu miałem przed sobą miejsce, którego grzechem byłoby nie uwiecznić.

Zaczynało się ściemniać więc postanowiliśmy wracać do domu. W końcu mieliśmy do pokonania 20 kilometrów na rowerze i to jeszcze przez las.

-Zapowiada się więc emocjonująca i nierówna droga powrotna! – powiedziałem z uśmiechem.

- Zanim wsiądziesz na rower, powinieneś o czymś wiedzieć. – rzekł Filip grobowym tonem. Spojrzałem na niego niepewnie.

-Choruję na hemeralopię.

- Na co? Filip... czy to groźne?

-To ślepotą zmierzchowa. Che, che. Nic nie widzę późnym wieczorem więc może się pospieszymy?

- Stary, myślałem, że umierasz!- wykrztusiłem z ulgą.

Wsiedliśmy na rower i ruszyliśmy w drogę. Ja cały zestresowany, co chwilę spoglądałem za siebie i pilnowałem żeby czasem Filip nie zboczył z drogi. Po pół godzinie dojechaliśmy do wioski, skąd było już niedaleko do domu.

Leżąc w łóżku rozmyślałem nad dzisiejszym dniem i doszedłem do wniosku, że na pewno nie był on taki jak wszystkie inne...

Piotr Konieczny

Podekscytowani pozbieraliśmy co ładniejsze okazy i przeszliśmy kawałek dalej gdzie ku naszemu zdziwieniu w kępie liści i tataraku leżały łuski tym razem od karabinu maszynowego MG-42. Dobrze zachowane. Adrenalina, radość, niedowierzanie. Tak w trzech słowach mógłbym opisać stan w jakim się znajdowałem. Usiedliśmy na trawie i podziwialiśmy nasze znaleziska. Były niesamowite, jednak ja czułem lekki niedosyt. Wlepiłem wzrok w muł niedaleko nas i myślałem, że zwariuję. Leżały tam skorupy od pocisków artyleryjskich!!! Nie mogłem uwierzyć swojemu szczęściu. Wybraliśmy się jak na



## Duch księżnej

Wieczór tego lipcowego dnia tak niespodziewanie narzucił na słońce swój czarny płaszcz, że odczuliśmy nagłą ciemność i chłód tak jakby ktoś chciał nas wystraszyć i przepłoszyć z tego miejsca. Siedzieliśmy na starych, szarych ławkach w Parku Książańskim niedaleko malowniczo porośniętych bluszczem i zaprzyjaźnionych z odległymi czasami zamkowych murów. Na kolanach każdy z nas miał rozłożone płachty map, tylko z daleka wydawały się to zwykłe, historyczne mapy. W świetle naszych latarek podziwialiśmy ich bardzo stare, jakby ręką średniowiecznego skryba wyrysowane linie, plamy, które opisywały w symboliczny sposób to tajemnicze miejsce. Była to cudem zdobyta, przez naszą znajomą panią historyk, najstarsza mapa książańskiego zamku i terenów wokół niego. Według historycznych źródeł mapę wykonał średniowieczny niemiecki mnich Gotfryd, mieszkaniec przyzamkowej kaplicy. Mapa była dla nas „kluczem” do naszego celu, odszukania tajemniczego przejścia pod Zamkiem Książ, które miało prowadzić do podziemnej komnaty pełnej skarbów, gdzie w gorączkowej atmosferze ostatnich dni wojny hitlerowcy mieli pozostawić większość najcenniejszych, zagrabionych na Dolnym Śląsku skarbów.

Tak naprawdę to nie wizja bogactwa i rzekomych kosztowności nas tu przywiodła. W naszych piersiach były podobne serca, żadne przygód, niebezpieczeństw i pełne odwagi. Cała nasza trójka, Momo, Kama i Jim, przeżyła już razem kilka zamrażających krew wydarzeń i to dzięki nim wiedzieliśmy, że dopóki ktoś z nas jest wolny, i może pomóc drugiemu, nikomu z nas nic nie zagraża. To było w tym poszukiwaniu najpiękniejsze, cenniejsze od

wszystkich niezalezionych jeszcze przez nikogo skarbów. Choć było coś, o czym marzyli wszyscy poszukiwacze na tych terenach, coś co było mityczną legendą, ale każdy w nią wierzył i pragnął to zdobyć. Był to najdłuższy na świecie sznur pereł, o którym pisało w pamiętnikach, że należał do księżnej zamku i że została na niego rzucona klątwa. Poławiacz pereł, który je zdobył przypłacił to śmiercią. Każde z nas wzdychało po nocach na myśl, o znalezieniu tych śmiertelnych pereł.

Ten park zmieniał się nocą w tajemniczy, mroczny ogród. Słyszeć było pohukiwanie puszczyków, jęklliwe wycia kotów i groźny szum drzew z parkowej alei, które jakby strzegły tajemnic i odstraszały nieproszonych śmiałków. My jednak nie chcieliśmy tym razem podziwiać zamkowych murów oświetlonych srebrną poświatą księżycy.

Z ekscytującym oczekiwaniem poszliśmy drogą prowadzącą do stadniny, która w nocy wyglądała jak z horroru, kamienista, pusta i porośnięta dzikimi krzewami oraz topolami. Wkrótce znaleźliśmy się przy wejściu do owych podziemi, opisanych na mapie przez mnicha.

Miejsce było wręcz niewidoczne z zewnątrz, tak starannie ukryte jakby pilnowane przez jakiś strażników. Musieliśmy przedrzeć się do niego poprzez kolczaste zarośla, jakieś ruiny drewnianej stodoły i dopiero po dokładnym poszukiwaniu w gęstym zagajniku za stadniną odnaleźliśmy niepozorny dół, zarośnięty mocno trawą, który według mapy miał być wejściem do tajnego przejścia. Samo wejście było wielkim niebezpieczeństwem, prowadziło kamiennymi, krętymi schodkami, których pokonywanie w

tych ciemnościach mogło doprowadzić do upadku w niewidzialną głębinę.

Niecierpliwie wśliznęliśmy się w przestrzeń coraz potężniejszej ciemności, za chwilę czuliśmy już lodowate, przenikające nas zimno i niesamowitą ciszę, panującą w podziemiach.



To chyba ta cisza i dzikość podziemi działała na nas jak narkotyk i zmuszała nas, żebyśmy do niej wracali. Świadomość tego, że jesteśmy w miejscu, którym w średniowieczu przemykali pośpiesznie z łuczywami rycerze, a w kilkaset lat później odbywały się gorączkowe marsze przerażonych końcem wojny esesmanów nadawała naszej wyprawie sensacyjnej atmosfery.

Minęło kilka godzin monotonnej drogi, mieliśmy nieuchwytnie wrażenie, że zabłądziliśmy, gdyż po drodze było kilka rozwidleń i wciąż wracaliśmy w te same miejsca. Powoli zaczęliśmy opadać z sił, nogi zaczynały nas niemiłosiernie boleć, zmęczenie powodowało, że straciliśmy poczucie dnia i nocy, godzin, kilometrów. Stało się coś dziwnego, gdyż według mapy podziemia nie były tak długie i kręte jak wskazywałyaby nasza długa, labiryntowa droga. Jimmie stwierdził, że może był to sposób na zmylenie chciwych poszukiwaczy skarbów albo wrogów chcących tak dostać się do zamku niepostrzeżenie. Nagle

pogrążeni w zadumie i coraz mocniej odpływającymi w błędzenie myślami nie zauważyliśmy, że znaleźliśmy się w jakimś dziwnym, odbiegającym od reszty szlaku pomieszczeniu. Była to kwadratowa, kamienna izba pełna przepięknych rzeźb aniołów, krzyży. Po chwili Maciek zorientował się, że dookoła nas znajdują się stare sarkofagi, grobowce mające po kilkaset lat. Poczuliśmy mrowienie w całym ciele, to mówił o sobie strach. Tak, znaleźć się w grobowcu, którego na dodatek nie spodziewaliśmy się według planu było na pewno dla nas pełne grozy. Postanowiliśmy bliżej przypatrzeć się napisom na grobowcach, były wyrzeźbione po łacinie. Kama, jedyna z nas mająca choć szczątkową znajomość tego archaicznego języka zdołała odczytać jedynie, że pochowani tam byli książęta z rodu Piastów, dawnych właścicieli zamku. W jednym z nich, najpiękniej zdobionym rzeźbą przedstawiającą anioła ze smutnym uśmiechem spoglądającym na nas, spoczywała księżna, pochodził on z XVII wieku. Momo dotknął rzeźby i spróbował odsunąć płytę krypty. Nagle usłyszeliśmy z początku lekki, lecz coraz głębiej dochodzący do naszego umysłu dziwny szelest, jakby powiew skrzydeł. Po chwili nasze zdziwienie a później trwoga miała przybrać apogeum, gdyż usłyszeliśmy czyjś szept dobiegający zza murów albo z sarkofagów : „ Zostawcie nas w spokoju, odejdźcie,,,”



Zagłuszyliśmy szept naszym krzykiem, nasze odczucia były bliskie szaleństwa i niewiary w

ten głos pochodzący z zaświatów. Nie wiedzieliśmy, że to nie był koniec tych nadprzyrodzonych zjawisk w zamkowych podziemiach. Za chwile naszym oczom ukazał się najbardziej przerażający widok całego naszego życia: ze ściany bardzo powoli wyłaniała się smuga białego światła, która coraz wyraźniej przybierała postać kobiecej dłoni. Z dłoni zaczęło coś spływać, jakby srebrzysta woda, nie woda... Boże, teraz widzieliśmy wyraźnie: na tle ściany błyszcząły wyraźnie perły, kilkumetrowy sznur pereł, który niewidzialną siłą zbliżał się w naszą stronę. Dłoń wydawała się nam grozić, gwałtownie potrząsając perlami. Poczuliśmy jak klejnoty oplatają coraz bliżej i mocniej nasze ręce, nogi, szyję. Byliśmy spętani legendarnymi perlami księżnej. Nagle sznur drogocennych kamieni zaczął okręcać się wokół szyi Momo, który stał najbliżej i próbował wcześniej otworzyć grobowiec księżnej. Momo zaczynał się dusić, jego twarz przybrała siny kolor, jego usta otworzyły się w niemym krzyku. Nie zastanawiając się Jimmie sięgnął po nóż i odciął sznur, raniąc go przy tym. Mleczna biel pereł zmieszała się teraz z czerwienią krwi. W tej chwili rozległ się szept:



„Odejdźcie, nie jesteście stąd, nie zabierajcie naszych skarbów”, szept jednak nie był prośbą, lecz wyraźnym nakazem opuszczenia tego miejsca. Niezdolni do niczego prócz krzyków, nieskoordynowanych gestów, zamarli na skutek szoku zapomnieliśmy nawzajem o sobie. Po raz pierwszy w życiu nie myśleliśmy o tym, by

nikomu z nas nic się nie stało, byliśmy egoistycznie przerażeni i chcieliśmy tylko uciekać, uciekać od strasznej komnaty....Odrzuciliśmy rozpaczliwie perłowe łańcuchy i wybiegliśmy z krypty.

Momentalnie podziemia rozbłysły setkami pochodni, które zaczęły wyrastać z murów. Duchy wyganiały nas ułatwiając nam ucieczkę.

Jednak droga podziemiami była dla nas nieprzyjazna i wielokrotnie ją gubiliśmy wracając w to samo miejsce, omijając jednak jakimś szóstym zmysłem naszą okropną komnatę. Cudem, gdyż strach powodował w naszych umysłach całkowitą dezorientację znaleźliśmy wyjście na świat zewnętrzny. Resztkami sił dopadliśmy kamienne schody, nasze wybawienie. Położyliśmy się na mokrej od rosy trawie i pospiesznie próbowaliśmy odzyskać nasz spokój i wyciszyć oddech. Właśnie zaczynało świtać i panowała cisza, niebo miało jeszcze grafitowy kolor, który współgrał z naszym strachem. Poprzez gałęzie docierały do nas blade i nikłe promienie słońca, wiedzieliśmy, że mogliśmy już nigdy ich nie ujrzeć. Powoli docierała do nas prawda, że to, co nas tam spotkało, było karą za naszą chęć zagarnięcia skarbów. Duchy, które ich tam pilnowały pragnęły spokoju, a nie intruzów żądnych przygód i sensacji. Tak naprawdę tym się przecież kierowaliśmy, jak każdy poszukiwacz, nawet zakłamując się ideałami o przygodzie. Czując wielki smutek, jednocześnie spokój, że nie musimy już tam wracać oddaliliśmy się stamtąd.

Po jakimś czasie dowiedzieliśmy się, że te podziemia w ogóle nie są nigdzie zaznaczone, zniknęły nawet z naszej mapy, choć każde z nas mogłoby przysiąc, że tam były od początku. Po paru dniach, gdy opanowaliśmy największe przerażenie postanowiliśmy sprawdzić czy wejście do podziemi nadal tam jest. Potrzebowaliśmy udowodnić, że wciąż nie postradaliśmy rozumu i że to, co wydarzyło się było prawdą. Niestety, tak jak zginęły z mapy, zginęły też ze świata. Miejsce, w którym się znajdowało okazało się jeszcze bardziej

niedostępnym, zarośniętym koleczastymi krzewami bagiennym zagajnikiem.

Nikt o wejściu nie słyszał i pracownicy zamku patrzyli na nas z ironią i politowaniem, ot kolejni fanatycy skarbów, fantacji. Czyżby mapa była zaczarowana, a może nasze umysły uległy jakiejś zbiorowej paranoi na skutek zmęczenia i ciemności? Po jakimś czasie uwierzyliśmy, że to wszystko było snem, o którym najlepiej zapomnieć.

Od tej pory podchodziliśmy już zawsze do odkrywania starych, nieznanych miejsc z wielką pokorą i szacunkiem, wiedząc, że jesteśmy tylko gośćmi w siedzibach duchów.

Tylko Kama po paru miesiącach przyznała się, że często wracała w to miejsce.

I kiedyś, gdy było jej bardzo smutno i zastanawiała się nad tamtymi tragicznymi wydarzeniami zauważyła coś leżącego w trawie. Jakaś mała, bardzo lśniąca rzecz. Podniosła po nią rękę i poczuła lodowatą powierzchnię, podniosła ją i trzymała w dłoni trupioblada perłę. Przerażona krzyknęła.

Justyna Nawrocka



## Tajemnice zamku w Pasłęku



Archeolodzy rozpoczną w lipcu w Pasłęku wykopaliska, które mają na celu odnalezienie podziemnego korytarza, łączącego w średniowieczu krzyżacki zamek z pobliskim kościołem św. Bartłomieja. Władze miasta liczą, że takie odkrycie przyciągnie turystów.

Poszukiwania podziemnego przejścia przy pasłęckim zamku mają potrwać do połowy sierpnia. Poprzedziło je - przeprowadzone w ub. roku - kompleksowe rozpoznanie struktury

gruntów. Po raz pierwszy przebadano ten obszar za pomocą nowoczesnych metod geofizycznych. Uzupełnieniem tych badań były wiercenia geologiczne.

Badacze stwierdzili wówczas obecność różnych "struktur architektonicznych" poniżej poziomu gruntu. Jak mówił PAP kierujący pracami dr Jacek Wysocki, prawdopodobnie udało się natrafić na zarwany tunel. "Podczas wierceń na

głębokości ponad 4 m ukazała się resztką stropu tej konstrukcji" - tłumaczył.

Zdaniem archeologów, informacje o takim tunelu pojawiały się w wielu opracowaniach historycznych, ale dotychczas nie było jednoznacznych dowodów, że rzeczywiście istniał.

Pasłęcki zamek został spalony przez Armię Czerwoną w 1945 r., więc po wojnie dostęp do większości dawnych podziemi nie był już możliwy. Został odbudowany w latach 50. i 60. ub. wieku, ale tylko w niewielkim stopniu przypomina pierwotną warownię.

W zaplanowanych do połowy sierpnia wykopaliskach wezmą udział naukowcy i studenci z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, z którym miasto podpisało porozumienie o współpracy w zakresie badań historycznych i archeologicznych. W ostatni piątek radni zdecydowali o przeznaczeniu ponad 60 tys. zł z budżetu miasta na te badania.

Władze Pasłęka liczą, że odnalezienie średniowiecznych podziemi, które można by było pokazać zwiedzającym, stanie się atrakcją turystyczną miasta obchodzącego w tym roku 720-lecie. Mają też nadzieję, że archeolodzy odkryją inne tajemnice dawnego krzyżackiego

zamku. Poszukiwacze skarbów od lat uważają, że jest to jedno z możliwych miejsc ukrycia Bursztynowej Komnaty.

Pod koniec II wojny światowej - z powodu sytuacji na froncie wschodnim i zagrożenia alianckimi nalotami - Niemcy ewakuowali z Królewca wiele cennych kolekcji muzealnych i dokumentów. Część zabytków zdeponowano lub ukryto we wschodniopruskich majątkach, również w okolicach Pasłęka.

Większość poniemieckich zbiorów zostało w 1945 r. zrabowanych i wywiezionych do ZSRR lub zniszczonych przez sowieckich żołnierzy. Tworzącej się zaraz po wojnie polskiej administracji udało się uratować m.in. 20 tys. rękopisów i starodruków z Królewca, które odnaleziono w - niedalekich od Pasłęka - Karwinach i Słobitach. Szczególnie cenną część tego księgozbioru stanowiła tzw. Srebrna Biblioteka księcia Albrechta Pruskiego z XVI w., uważana za unikatowy w skali światowej zabytek renesansowego złotnictwa.(PAP)

mbo/ akw/

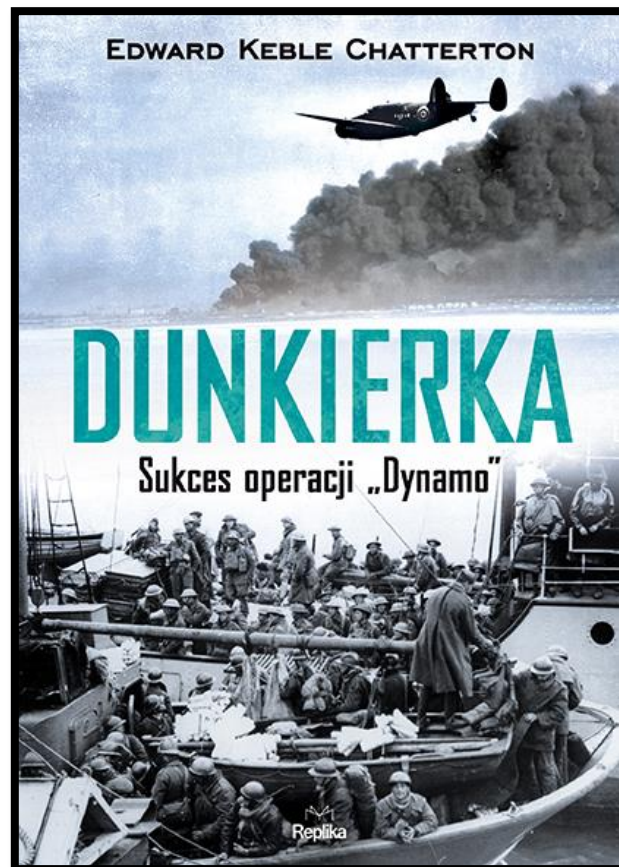


## Dunkierka. Sukces operacji „Dynamo”

Operacja „Dynamo” – „cud Dunkierki”, który przesądził o losach wojny 27 maja 1940 roku wynik bitwy o Francję był już przesądzony. Wówczas to rozpoczęła się jedna z największych operacji II wojny światowej: ewakuacja spod Dunkierki.

Przez kolejne dziewięć dni, sformowana na przemocie armada najrozmaitszych statków i okrętów ocalała blisko 340 tys. żołnierzy sił sprzymierzonych. Przewiozła ich przez kanał La Manche i sprowadziła bezpiecznie z powrotem do Anglii.

Wspomnienia tamtych wydarzeń są wciąż żywe w pamięci Brytyjczyków. Jednak przy całym zaangażowaniu Królewskiej Marynarki Wojennej, marynarki handlowej oraz innych armatorów z Wysp Brytyjskich, wkład pozostałych zaangażowanych nacji – Francuzów, Holendrów czy Belgów – pozostaje niedoceniony. Podobnie zresztą jak znaczenie działań obronnych w Calais, Lille czy Amiens, które skutecznie odciągnęły uwagę Niemców od Dunkierki.



Książka Chattertona to nie jedna, a wiele opowieści, ukazujących ówczesne wydarzenia z różnej perspektywy. Dopiero splot rozmaitych faktów i relacji pozwala ujrzeć je w pełnym wymiarze. Z kolei przytaczane dokumenty z epoki wskazują, że pewne zdarzenia widziano i oceniano na bieżąco inaczej, często w opozycji do późniejszej wiedzy. Autor opisuje „cud Dunkierki” okiem zapalonego żeglarza i byłego żołnierza. Relacjonuje go na gorąco, bo zaraz po zakończonej sukcesem operacji. W przystępny i rzetelny sposób przedstawia wnikliwie obraz zdarzeń, tętniący wciąż żywymi emocjami. Chattertona bulwersuje zdrada belgijskiego króla Leopolda II wobec aliantów. Jasno wyraża swą pogardę dla niemieckich ataków na wyraźnie oznakowane statki pasażerskie. Emanuje dumą z postawy cywilów, którzy, nieustraszeni, ruszyli praktycznie bezbronni w walkę.

Edward Keble Chatterton (1878–1944) był żeglarzem, a także uznanym pisarzem z Sheffield. Jego podróże przez kanał La Manche, do Holandii, wokół basenu Morza Śródziemnego stały się tematem wielu książek i artykułów.

Po wybuchu I wojny światowej wstąpił do ochotniczej rezerwy Królewskiej Marynarki Wojennej, gdzie dowodził flotyllą kutrów. Służbę zakończył w roku 1919 w stopniu komandora podporucznika.



Wakacje z Historią  
to połączenie wypoczynku,  
eksploracji oraz wolontariatu,  
a wszystko to w cieniu historii,  
ciekawych miejsc i tajemnic.

Na VI edycję zapraszamy Was  
do Gozdowice (woj. zachodniopomorskie),  
gdzie 1 Armia Wojska Polskiego forsowała Odrę wiosną 1945r.



W okolicy zwiedzamy m.in.: komandorię Templariuszy,  
miejskie mury obronne oraz miejsce średniowiecznej bitwy.

Wśród atrakcji ponadto:  
Mistrzostwa w eksploracji Wakacji z Historią,  
gry, zabawy, konkursy oraz loteria z cennymi  
nagrodami dla aktywnych wolontariuszy.



Informacji udzielają:  
Witek, tel: 602-688-672  
Radek, tel: 603-664-176



archtech



ODKRYWCA

## Ordery, odznaki, odznaczenia Austro-Węgry



Medal Rannych, odznaczenie wojskowe nadawane przez Austro-Węgry w latach 1917-1918.

*foto: Airbornelawyer; CC BY-SA 3.0*



Krzyż Wojskowy Karola, odznaczenie austro-węgierskie za zasługi wojskowe, ustanowione 13 grudnia 1916 przez cesarza Karola I.



Krzyż Franciszka Józefa, wojenne odznaczenie Cesarstwa Austriackiego, nadawane w latach 1917-1918

*foto: Robert Prummel; CC BY-SA 3.0*



Krzyż Zasługi dla Duchownych Wojskowych, odznaczenie Cesarstwa Austrii i C. i K. monarchii, nadawane od 1801 do 1918 roku.

*foto: Robert Prummel; CC BY-SA 3.0*



Medal Waleczności, austro-węgierskie odznaczenie wojskowe.



Odznaka za Służbę Wojskową w Cesarsko-Królewskiej Armii. Awers odznaki za 6 lat służby



Medal Wojenny, austro-węgierskie wojskowe odznaczenie państwowe, ustanowione 2 grudnia 1873 przez cesarza Franciszka Józefa I Habsburga.



Krzyż Zasługi Wojskowej, austriackie i austro-węgierskie (od 1867 roku) odznaczenie za zasługi wojskowe, nadawane oficerom w latach 1849–1918. W 1914 roku podzielony na trzy klasy.

TREASUREmaster





TREASUREpro





TREASUREmaster

Profesjonalne  
wykrywacze  
od 1950





TREASUREpro

Znakomita jakość w Twoim zasięgu!

## Germanie na terenach obecnej Polski



Unikatowe konstrukcje słupowe sprzed 1400 lat znaleźli archeolodzy na terenie Ułowa (woj. lubelskie). Zdaniem odkrywców świadczą one o tym, że Germanie przebywali na obszarach obecnej Polski znacznie dłużej, niż sądzono.

Archeolodzy prowadzą wykopaliska w Ułowie od 2002 r. Przyniosły one dotychczas znaleziska w postaci pozostałości dwóch dużych osad i dwóch cmentarzysk należących do jednego z germańskich ludów. Ślady pochodzą z okresu od początku IV w. do drugiej połowy V w., czyli późnego okresu wpływów rzymskich i wędrowek ludów.

Do momentu rozpoczęcia badań teren Roztocza Środkowego (gdzie leży Ułów) stanowił "białą plamę" na archeologicznych mapach Polski.

Zaskakującego odkrycia - w postaci śladów zabudowań - dokonano właśnie w obrębie cmentarzyska. Jednak znalezione przez archeologów konstrukcje powstały najprawdopodobniej w czasach, gdy nie składano tam już zmarłych.

"Natknęliśmy się na trzy duże konstrukcje słupowe, zbudowane według kardynalnych kierunków świata. Z uzyskanych przez nas dat radiowęglowych z próbek pobranych z dołów

posłupowych wynika, że konstrukcje wzniesiono między końcem V a początkiem VII w." - powiedziała PAP kierowniczka wykopalska w Ulowie, dr Barbara Niezabitowska-Wiśniewska z Instytutu Archeologii UMCS w Lublinie.

Dla badaczki jest to duże zaskoczenie, gdyż do tej pory w polskiej archeologii przeważał pogląd, że w tym czasie większa część terenów obecnej Polski była opuszczona przez ludzi. Lukę po m.in. plemionach germańskich, które przeniosły się w różne części Europy, mieli wtedy stopniowo wypełniać Słowianie przybywający ze wschodniej części kontynentu - znad Dniepru.

"Konstrukcje te zatem pochodzą z czasów, kiedy nad Wisłą zaczęli pojawiać się Słowianie. Jednak lud ten nie wznosił budowli takiego typu, które odkryliśmy w Ulowie" - zaznacza archeolog. Pierwsi Słowianie mieszkali w konstrukcjach częściowo zagłębionych w ziemię - półziemiankach. Domostwa te posiadały najprawdopodobniej dwuspadowy dach, gdyż archeolodzy czasami odkrywają w środkowej części konstrukcji rząd dołów posłupowych, które go podtrzymywały.

"Odkryte przez nas konstrukcje były odmienne od typowych domów słowiańskich - po pierwsze nie były wkopane w ziemię; po drugie były obszerne" - zaznacza badaczka. Największy z nich miał blisko 4,5 m na 3,8 m. Swoją formą dom z cmentarzyska przypomina znane wcześniej z tego terenu konstrukcje - a w nich mieszkali Germanie.

W opinii dr Niezabitowskiej-Wiśniewskiej domy wzniesli Germanie. Otwarta pozostaje odpowiedź na pytanie, dlaczego stało się to na terenie cmentarza. Badaczka ma dwie koncepcje. Według jednej z nich konstrukcje te wzniesli Herulowie - lud germański, który mógł przybyć aż z Moraw. Decyzję o wędrówce do swoich macierzy, czyli Skandynawii, podjęli oni po porażce w walkach z Longobardami. Zdaniem archeologa z zapisków Prokopiusza z Cezarei wynika, że działo się to w początkach VI w. Nietypowe domy byłyby zatem świadectwem ich wędrówki na północ - uważa badaczka.

Zagadkowe jest jednak to, że osoby, które wznosiły konstrukcje, nie były świadome istnienia cmentarza - wiele z grobów zostało nawet częściowo zniszczonych w czasie wkopywania dołów na słupy stanowiące fundament domostwa.

Archeolog przedstawia też drugą koncepcję dotyczącą funkcji i znaczenia konstrukcji. Być może ta sama grupa Germanów, która zasiedlała okolice Ulowa, żyła tam nieprzerwanie aż do VII w. W takim przypadku konstrukcje na cmentarzysku mogłyby być pozostałościami po miejscach, w których odprawiano rytuały pogrzebowe.

"Nie zachowały się żadne ślady po zadaszeniu, dlatego możemy tylko domniemywać, że były to domy. Być może jednak były to platformy pogrzebowe, na których składano zmarłych mężczyzn" - sugeruje badaczka.

Dlaczego akurat mężczyzn? Bo na dwóch cmentarzyskach w Ulowie do naszych czasów zachowały się tylko pojedyncze groby, w których ich pochowano. Być może po śmierci ciała mężczyzn traktowano w odmienny sposób - np. składano na drewniane platformy, z których szczątkami żywiły się zwierzęta - wskazuje badaczka.

To nie pierwsze znaleziska archeologiczne, świadczące o złożonym obrazie kulturowym dzisiejszych terenów Polski 1,5 tys. lat temu. Odkryć zmieniających wizję naukowców dokonano również w Konarzewie w Wielkopolsce. Tam przebadano największą jak dotąd w Polsce liczbę domów słupowych z V i VI w. - a zatem nieco starszych, niż te z Ulowa. Naukowcy wiążą je z przedstawicielami kultury przeworskiej, często identyfikowanej z Germanami.

Od kilku lat zespół prof. Aleksandra Bursche w ramach projektu badawczego „Okres Wędrówek Ludów w dorzeczu Odry i Wisły” również próbuje zgłębić tą tematykę. Ustalono, że w połowie I tysiąclecia na obszarze pomiędzy Odrą a Wisłą nie nastąpił całkowity zanik osadnictwa. Według tego zespołu badawczego ludność o tradycjach germańskich, która była obecna na terenach obecnej Polski w czasie okresu

wędrówek ludów, zasymilowała się ze Słowianami.

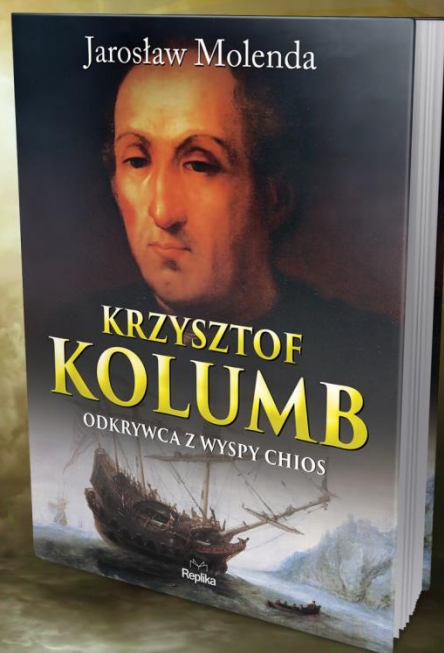
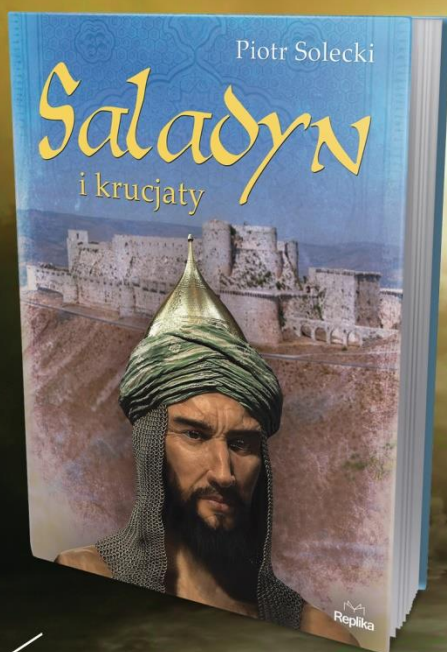
Jednocześnie zespół pod kierunkiem prof. Marka Figlerowicza z Instytutu Chemii Bioorganicznej PAN próbuje stworzyć "genetyczny portret"

przodków dzisiejszych Polaków - genetycy będą próbowali również odpowiedzieć na pytanie, czy Słowianie istotnie pojawili się 1,5 tys. lat temu, czy zasiedlali tereny nad Wisłą zdecydowanie dłużej.

PAP - Nauka w Polsce

Serwis Nauka w Polsce - [www.naukawpolsce.pap.pl](http://www.naukawpolsce.pap.pl).

# LUDZIE, KTÓRZY ZMIENILI OBRAZ ŚWIATA



Tel. 61 868 25 37, [handlowy@replika.eu](mailto:handlowy@replika.eu)





ZDZIENNIKAOdkrywcY.PL



ZWIADOWCA  
HISTORII

THE THIRD CHARITY METAL DETECTING DIG  
IN MEMORY OF  
**THE 75th ANNIVERSARY OF THE HOME ARMY**  
**8 - 10 SEPTEMBER**  
**LINCOLN**



## Odkrycie przez Polaków pozostałości antycznego kościoła w Albanii



Już w późnym okresie antycznym, czyli w V-VI w., na terenie Szkodry w Albanii, znajdował się kościół, po którym do naszych czasów nie pozostał ślad. Polscy archeolodzy odkryli jednak dobrze zachowaną kryptę, która znajdowała się wewnątrz tej świątyni.

Znaleziska dokonano w twierdzy Rozafa, która górowała nad antycznym miastem Scodra - czyli dzisiejszą Szkodrą. Miejscowość leży na brzegach wielkiego Jeziora Szkodryjskiego. Jest to jedno z najważniejszych stanowisk

archeologicznych dla historii Ilirii, czyli królestwa sprzed ponad 2 tys. lat. Od czasów neolitu znajdowała się tam znacząca i bogata osada leżąca na skrzyżowaniu ważnych szlaków lądowych i wodnych.

Od zeszłego roku polscy archeolodzy z Ośrodka Badań nad Antykiem Europy Południowo-Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego prowadzą wykopaliska w twierdzy Rozafa wewnątrz dawnej katedry Św. Stefana, którą po 1479 Otomani przebudowali na meczet. Dziś po



konstrukcji pozostały tylko malownicze ruiny górujące nad współczesnym miastem.

Tegoroczne odkrycia jeden z kierujących badaniami, dr Martin Lemke, określa jako "mała sensacja". W prezbiterium katedry, pod poziomem posadzki, Polacy odkryli nie tylko – zgodnie z oczekiwaniami – kilka grobów wykutych w skale macierzystej z okresu, kiedy katedra została zbudowana na początku XIV w., ale również kryptę zbudowaną z cegieł i

zaprawy. Była to starannie wykonana komora o idealnie prostopadłościenną budowie, której wnętrze w całości pokryto tynkiem.

"Orientacja tej miniaturowej krypty nie pasuje do planu katedry, a jakość wykonania wysokim standardem odbiega od prostych grobów wykutych w skale. Wydaje się pewne, że mamy do czynienia z pozostałością kościoła, który stał w tym miejscu w późnym antyku" - uważa dr Lemke. Wnętrze krypty było wypełnione gruzem z późniejszych czasów.

To pierwszy dowód na istnienie w tym miejscu (w obrębie twierdzy nad miastem Szkodra) konstrukcji w okresie starożytności. Do tej pory archeolodzy natykali się jedynie na liczne zabytki antyczne - głównie w postaci naczyń ceramicznych oraz bloku noszącego rzymską inskrypcję, wmurowaną w filar jednej ze





średniowiecznych cystern. Kolejne pokolenia mieszkańców Szkodry niszczyły wcześniejszą zabudowę na wzgórzu Rozafa, na której gruzach budowano nowe przybytki - miejsce było nieprzerwanie zasiedlane od antyku po XX w., a w czasach panowania Republiki Weneckiej (1396-1479) całe miasto leżało na obszarze zamku.

"Teraz z całą pewnością możemy powiedzieć, że już w późnym antyku stał tu kościół chrześcijański, który przebudowano w średniowieczu. Wtedy na niecałe 100 lat stał się katedrą Św. Stefana, a później świątynią muzułmańską aż po koniec użytkowania fortecy" - wylicza dr Lemke.

Naukowiec zwraca uwagę, że okres późnego antyku odegrał ważną rolę w historii Szkodry. Wtedy to nadano nazwę twierdzy górującej nad miastem - Rozafa, która jest powszechnie używana do dziś. Resafa to pierwotna nazwa miasta na syryjskiej pustyni, w którym pochowano chrześcijańskiego męczennika, rzymskiego żołnierza - Sergiusza. Stacjonował nad Eufratem w dzisiejszej Syrii w armii cesarza

Galeriusza na początku IV w. Stracono go z powodu jego wiary. Jak wyjaśnia dr Lemke w VI w., kiedy kult Sergiusza osiągnął apogeum, wieść o męczenniku trafiła do diecezji szkoderskiej. Przyjmuje się, że to żołnierze z Dalmacji ze służby na wschodzie Imperium przynieśli wieści o nim do dzisiejszej Albanii. Także w tym czasie w Szkodrze powstał monastyr ku czci Sergiusza i Bakchusa (również męczennika). Odkrytą przez Polaków kryptę należy zatem wiązać z tym intensywnym dla chrystianizacji tego obszaru okresem.

Szkodra była dotychczas badana przez archeologów jedynie sporadycznie. Były to niewielkie wykopaliska sondażowe na szczycie twierdzy. Głównym celem polskich archeologów w ramach wieloletniego projektu „Szkodra - stolica Ilirii i jej antyczne zaplecze gospodarcze” jest próba rozpoznania topografii miasta, ustalenie przebiegu antycznych murów na twierdzy Rozafa oraz dolnego miasta, wyznaczenie głównych kwartałów zabudowy i rozpoznanie układu wspólnej przestrzeni miejskiej.

PAP - Nauka w Polsce

Serwis Nauka w Polsce - [www.naukawpolsce.pap.pl](http://www.naukawpolsce.pap.pl).

## Archeolodzy odkrywają tajemnice średniowiecznego szpitala



Archeolodzy z UMK odkrywają tajemnice średniowiecznego szpitala, który zachował się na Rynku Nowomiejskim. To drugie badania prowadzone w budynku przy ul. Szpitalnej 4. Badaczom udało się odnaleźć cenne przedmioty wykorzystywane do opieki nad chorymi wiele wieków temu.

Prace archeologiczne prowadzi grupa pod kierownictwem prof. UMK Grażyny Sulkowskiej-Tuszyńskiej. W trakcie pierwszych prac wykopaliskowych w 2014 roku rozpoznano wschodnią, ceglana partię fundamentu budynku od zewnątrz, odkopano pruską studnię z XIX

wieku, ustalono kilka poziomów użytkowych oraz znaleziono relikty ceglanej budowli na dziedzińcu.

"Jestem kierownikiem ekspedycji, którą wiele lat temu nazwaliśmy +Jakubową+, ze względu na to, że zaczęliśmy +kopać+ kościół św. Jakuba w historycznym Nowym Mieście. Po wstępnym rozpoznaniu historycznym wiedzieliśmy, że obok tego kościoła powinny znajdować się szkoła, szpital i dom plebana. Od 2014 roku rozpoczęliśmy rozpoznawanie szpitala, który znajduje się tuż za murem cmentarza tego kościoła. Jest to prosty, w tej chwili brzydki

wyglądający budynek piętrowy z dwuspadowym dachem. Nad wejściem głównym jest nisza, w której znajduje się krucyfiks. W każdym szpitalu średniowiecznym religijny znak obecności Chrystusa się znajdował" - powiedziała w rozmowie z PAP Sulkowska-Tuszyńska.

W Toruniu w okresie średniowiecza działało kilka szpitali. W Nowym Mieście, co wynika z relacji historyków, działały dwa szpitale - jeden pod wezwaniem świętych Piotra i Pawła i drugi przy ul. Szpitalnej.

"Jest dyskusja naukowa dotycząca tego, czy przypadkiem obiekt, w którym my obecnie pracujemy, nie miał tego wezwania. Wydaje nam się jednak, że nie. Miał być to obiekt funkcjonujący przy kościele św. Jakuba, a tamten był w innym miejscu. Potwierdzają to również relacje osób, z którymi miałam wcześniej kontakt. Nas cieszy, że ten budynek zachował się w całości, chociaż oczywiście był wielokrotnie przebudowywany przez lata, chociażby po pożarach" - dodała kierownik prac.

Uzupełniła, że naukowcy nadal nie wiedzą, gdzie zlokalizować szkołę, która miała się znajdować w całym kompleksie przykościelnym.

"Kilka lat temu były tu mieszkania i liczne podziały wewnętrzne, więc teraz możemy poznać dopiero jego wnętrze i technikę fundamentowania. Wielką radość sprawiło nam znalezienie pierścionka zakonnego z monogramem Chrystusa, który nie mógł należeć do osoby cywilnej, ale zakonnej, co potwierdza działalność w tym miejscu sióstr - benedyktynek i cysterek" - wspomniała Sulkowska-Tuszyńska.

Jej grupa znalazła także m.in. nożyczki służące do obcinania knotów świec, liczne naczynia ceramiczne, charakterystyczne dla terenów zakonu krzyżackiego - garnki, dzbany, misy, a także elementy ubioru - końcówki od pasa, nóżkę kieliszka, mogącego służyć w XVIII w. jako miarka do lekarstw, butelki oraz buteleczki z XIX w. z informacjami o pojemności bądź po wrodzie mineralnej produkowanej w zakładach pod Bydgoszczą.

"Ekspedycja świetnie pracuje, o czym mogą świadczyć znajdowane szpilki, służące do upinania odzieży. Nie różnią się wiele od obecnie znanych wszystkim" - uzupełniła Sulkowska-Tuszyńska.

Badania archeologiczne prowadzone przez studentów będą najprawdopodobniej ostatnimi w tym obiekcie.

"Później będą zorganizowane przez władze konserwatorskie badania poprzedzające planowane tutaj inwestycje. Cały teren będzie wówczas podlegał eksploracji, gdyż ma tu powstać garaż podziemny pod kompleksem hotelowym. My niedługo kończymy swoje zadanie. Stan rozpoznania terenu, jak na moje oczekiwania, nie jest jeszcze zadowalający. Jest jednak szansa, że będę miała dostęp do wyników badań wyprzedzających" - dodała kierownik prac.

Archeolodzy myśleli, że szpital bądź przytułek mógł istnieć w tym budynku tylko do pierwszej połowy XIX wieku - do zlikwidowania przez Prusaków klasztoru benedyktynek, ale odnalazły się spisy adresowe, które świadczyłyby, że jeszcze w 1932 roku ten budynek pełnił swoją funkcję - być może już tylko przytułku.

PAP - Nauka w Polsce, Tomasz Więclawski

Serwis Nauka w Polsce - [www.naukawpolsce.pap.pl](http://www.naukawpolsce.pap.pl).

## Poszukiwania reliktyw średniowiecznego kościoła



Średniowiecznego kościoła w gliwickiej dzielnicy Czechowice (Śląskie) wspólnymi siłami szukają społecznicy i archeolodzy. Już po pierwszym dniu prac, na domniemanym terenie, znaleziono fragmenty średniowiecznych naczyń oraz – prawdopodobnie – relikty samego kościoła.

"W miejscu, w którym przypuszczaliśmy, że znajdował się kiedyś kościół, znaleźliśmy dwa fragmenty fundamentów. Wydaje się, że jest to ten kościół, ale pracujemy dopiero drugi dzień, więc trudno nam to jeszcze ostatecznie potwierdzić" – powiedział PAP we wtorek kierownik prac Radosław Zdaniewicz, który jest prezesem górnośląskiego oddziału Stowarzyszenia Naukowego Archeologów Polskich oraz archeologiem z Muzeum w Gliwicach.

Pierwszego dnia prac archeolodzy wraz z sześcioma chętnymi społecznikami założyli wykop na powierzchni 15 metrów na 1 metr.

Zdaniewicz podkreślił, że już w pierwszym dniu – oprócz fragmentów fundamentów budowli – znaleziono tam m.in. sporo fragmentów naczyń średniowiecznych z XIV-XV wieku oraz jedną srebrną monetę z tamtego czasu, której dokładny okres pochodzenia zbada niebawem numizmatyk.

Głównym założeniem tych prac jest znalezienie reliktyw średniowiecznego kościoła pw. św. Jerzego, a także zbadanie, jak dokładnie wyglądała ta świątynia i kiedy funkcjonowała. "Z końca XVII wieku zachował się zapis, że był to kościół drewniany, że posiadał dzwonnice i zakrystię, oraz że generalnie był w złym stanie. Jednak były to tylko ogólnie informacje, nikt nie zapisał, jak on dokładnie wyglądał" – podał Zdaniewicz.

Nie wiadomo też, co w późniejszych wiekach z kościołem się stało. "Jest taka lokalna historia, że spłonął, ale czy tak się stało, trudno powiedzieć. Na razie żadnej warstwy spaleniskowej nie

znaleźliśmy, więc może popadł w ruinę, zawalił się dach, potem go rozebrano na potrzeby jakichś miejscowych zabudowań – w tym momencie nie da się tego jeszcze określić" – zaznaczył kierownik prac.

Czechowice to najbardziej wysunięta na północ dzielnica Gliwic. Zdaniewicz wskazał, że jej początki sięgają średniowiecza właśnie. "Choć na tym terenie odkryto nawet pradziejowe zabytki" – podkreślił. Pierwsza wzmianka o Czechowicach pochodzi jednak z XIV wieku. Chodzi o spis wsi, które musiały płacić dziesięcinę na rzecz Kościoła. "Można więc powiedzieć, że na początku XIV wieku Czechowice były już taką zagospodarowaną wsią, skoro były wymienione jako wieś, która musi płacić podatek na rzecz Kościoła" – podkreślił archeolog.

Pierwsza tura prac wykopaliskowych potrwa do środy. "Robimy to zupełnie społecznie, bez żadnych funduszy, więc musimy te prace dopasować do naszego czasu i naszych

możliwości" – wskazał archeolog. Dodał, że nie działają pod presją czasu, ponieważ wydana przez wojewódzkiego konserwatora zabytków zgodna na prowadzone tam prace obowiązuje do przyszłego roku.

Inicjatorem i pomysłodawcą poszukiwania czechowickiego kościoła jest Stowarzyszenia Rozwoju Czechowic. (PAP)

akp/ agt/

Serwis Nauka w Polsce - [www.naukawpolsce.pap.pl](http://www.naukawpolsce.pap.pl).

**panele  
podłogowe**

z montażem GRATIS  
na terenie całego kraju

[www.swiatpaneli.com](http://www.swiatpaneli.com)

 Świat Paneli

## Żegluga na Nilu w starożytnym Egipcie



Bez statków i zaplecza w postaci portów - nie podziwialibyśmy dziś w Egipcie piramid i olbrzymich świątyń. Żegluga była niezbędna nie tylko do transportu bloków kamiennych, ale również robotników czy zaopatrzenia - uważa dr inż. arch. Aleksandra Brzozowska-Jawornicka.

Co prawda powszechnie znane jest powiedzenie "ojca historii" Herodota, według którego Egipt jest darem Nilu - to rzadko, kiedy zdajemy sobie sprawę z tego, co tak naprawdę za nim się kryje - zauważa w rozmowie z PAP dr inż. arch. Aleksandra Brzozowska-Jawornicka z Politechniki Wrocławskiej.

Według niej trudno jest znaleźć jakąś sferę życia w starożytnym Egipcie - czy to prywatnego, czy państwowego, czy związaną z ekonomią,

gospodarką, a nawet religią - na którą większego lub mniejszego wpływu nie miały Nil.

Szkutnictwo pojawiło się nad Nilem bardzo wcześnie - ryty naskalne ukazujące duże jednostki pływające znane są już z czasów poprzedzających powstanie cywilizacji farańskiej, zatem już sprzed ponad 5 tys. lat.

Dziś w Egipcie wzdłuż Nilu znajdują się drogi i linia kolejowa. Nil jest teraz jednym z kilku wariantów podróży. Jeśli chodzi o długodystansowy transport, starożytnym nie pozostawało w zasadzie nic innego, jak droga wodna.

"Egipt był krajem do pewnego stopnia odizolowanym od wpływów zewnętrznych.

Dzięki temu nad Nilem powstała bardzo charakterystyczna i specyficzna cywilizacja, której wytworów sztuki i architektury nie da się pomylić z żadną inną. Widoczne jest to również w sztucnictwie: była to dziedzina, która powstała tam niezależnie od innych regionów Bliskiego Wschodu" - zauważa badaczka.

Według niej w tej dziedzinie można wręcz mówić o konserwatyzmie, gdyż niektóre rozwiązania związane z żeglarstwem znane od III tysiąclecia p.n.e. - stosowane były przez kilka tysięcy lat. Modyfikowano je tylko w niewielkim stopniu, bo - jak przekonuje badaczka - doskonale się sprawdzały w egipskich warunkach i nie było potrzeby ich zmienienia.

Już z czasów Starego Państwa (2686-2181 lat p.n.e.) - czyli okresu, w którym wznoszono największe piramidy - znane są archeologom kilkudziesięciometrowe statki. Największy, mający blisko 50 m długości, odkryto tuż przy piramidzie Cheopsa. Wykonano go z belek cedrowych przywiezionych z Libanu, bo w Egipcie pozyskanie drewna od zawsze stanowiło duży problem.

Pierwsze statki ze względu na wielkość nie wymagały specjalnych instalacji portowych. Z czasem, gdy ich gabaryty zwiększały się, zaczęły też powstawać porty. Składały się one z nabrzeży, wykonanych z bloków kamiennych. Ich ślady zachowały się w kilku miejscach Egiptu, m.in. obok największego kompleksu świątynnego w tym kraju, w Karnaku. Struktura ta miała ok. pół kilometra długości, a więc jej wielkość można porównać do współczesnych portów. Mur nabrzeża portowego był na tyle długi, że mogły przy nim cumować statki nawet o kilkudziesięciometrowej długości. Mierzył ok. 8 m wysokości i był wykonany z bloków piaskowca. Przylegały do niego schody, które prowadziły do platform na niższych poziomach - statki dobijały do odpowiednich w zależności od poziomu Nilu.

Przemieszczanie kilkusettonowych bloków kamiennych (bo z tak wielkich elementów wznoszono świątynie i piramidy) na wielkie odległości nie byłoby możliwe, gdyby nie Nil. Z Asuanu na statkach transportowano bardzo ceniony czerwony granit - wykorzystany m.in.

na potrzeby budowy komory królewskiej w Wielkiej Piramidzie w Gizie.

Według dr Brzozowskiej-Jawornickiej była to olbrzymia akcja logistyczna, która rozegrała się ponad 4,5 tys. lat temu. Kilkudziesięciotonowe bloki ludzie starali się przemieścić jak najbliżej placu budowy. Było to możliwe dzięki systemowi kanałów, które odchodziły od Nilu. Na płaskowyżu Giza na potrzeby budowy piramid powstał olbrzymi port. Tam trafiał budulec zarówno z Asuanu, jak i bliżej położonych kamieniołomów wapienia w Tura. Porty obok piramid i świątyń były najczęściej T-kształtne. Górna część odzwierciedla basen portowy, a dolna - kanał wiodący do niego. Prostopadle do basenu wiodła rampa, do której dobijały statki.

"Niestety po jego infrastrukturze do naszych czasów nie zachowało się wiele śladów, gdyż po ukończeniu budowy Egipcjanie szybko zaadoptowali go na cele kultowe" - dodaje badaczka.

Oprócz przeładunku bloków kamiennych port służył jako miejsce, do którego przybywali - zapewne z odległych miejsc w kraju - robotnicy oraz zaopatrzenie, m.in. żywność.

Największe bloki przetransportowane drogą wodną w Egipcie miały blisko 500 ton. To obeliski Totmesa III, władcy z czasów świetności cywilizacji faraonńskiej, władającego w poł. II tysiąclecia p.n.e. Dla archeologów pozostaje zagadką, jak mogły wyglądać statki, na których je przetransportowano.

"Pewne wyobrażenie daje nam relief ze świątyni Hatszepsut w Deir el-Bahari, gdzie widać transport obelisków. Drewniana jednostka ma opływowy kształt. Pozbawiona jest kila. Sterowano za pomocą czterech gigantycznych wiosel widocznych na rufie" - opisuje ekspertka.

Badaczka sądzi, że takiej barce zapewne towarzyszyła flotylla łódek, które pomagały w korygowaniu kursu gigantycznego ładunku - tak, by płynął jak najbliżej środka rzeki. "Na szczęście bloki transportowano w dół rzeki - bez współczesnych silników przewiezienie tak

ciężkiego ładunku nie byłoby możliwe" - zaznacza architekt.

Niestety do naszych czasów nie zachowały się żadne źródła na temat tego, w jaki sposób prowadzono załadunek i rozładunek bloków ze statków. Ale nie znamy też szczegółów techniki wznoszenia piramid - Egipcjanie lubili po prostu chwalić się efektem, a nie samym procesem - zauważa badaczka.

Ekspertka ubolewa, że do naszych czasów nie zachowały się w dobrym stanie porty, które towarzyszyły osadom. Wynika to z faktu, że miasta w Egipcie znajdują się w tych samych miejscach od tysiącleci, dlatego starożytna zabudowa portowa położona jest wiele metrów pod obecnym poziomem gruntu. Czasem były to budowle gigantycznych rozmiarów, jak np. basen portowy Birket Habu w Tebach Zachodnich z okresu Nowego Państwa (1550–1069 r. p.n.e.).

Żegluga Egipcjan skoncentrowana była na Nilu. Wiadomo jednak, że pływano również po Morzu Śródziemnym i Czerwonym.

"Działo się to głównie dla zrealizowania ambicji królewskich - faraonowie byli przecież uzależnieni od dóbr unikatowych i luksusowych, które często można było pozyskać tylko z odległych rejonów. Wśród takich produktów są kadzidło i mirra z legendarnej krainy Punt położonej w głębi Afryki" - zwraca uwagę architekt.

Starożytni Egipcjanie żeglowali po Morzu Śródziemnym i Czerwonym, ale trudno ich

osiągnięcia porównywać do kunsztu Fenicjan czy wikingów. Pływali głównie wzdłuż brzegów i z reguły docierali co najwyżej do krajów Lewantu - rejonów leżących na wschodnim, azjatyckim wybrzeżu Morza Śródziemnego, oraz w okolicy Rogu Afryki na Morzu Czerwonym. Istnieją również przypuszczenia, że mogli docierać aż na Ocean Indyjski poprzez cieśninę Bab al-Mandab, choć zapewne nie oddalali się od brzegów Afryki wschodniej – wskazuje badaczka.

Konstrukcja statków morskich nie różniła się znacząco od tych używanych na Nilu. W przypadku tych pierwszych stosowano po prostu grubsze poszycia kadłubów - z tego względu, że działanie wody morskiej jest bardziej niszczące niż słodkiej. Drugą różnicą była kotwica, a w zasadzie jej brak - wskazuje badaczka. W przypadku tych stosowanych w żegludze morskiej były to kamienne bloki z przewierconym otworem na linę. Swoim ciężarem miały hamować statek. Stosowanie takiego rozwiązania na Nilu nie było możliwe. Kotwica tego typu po zarzuceniu zostałaby wessana przez wielometrowy muł - nie byłoby możliwe jej powrotne wciągnięcie na pokład.

"Do czasu wynalezienia silników żeglarze egipscy byli w pełni uzależnieni od wiatru, nurtu, a w przypadku morza - również od prądów. Choć byli tak bardzo zależni od przyrody, zdołali stworzyć konstrukcje, które do dziś wzbudzają podziw, a wśród naukowców żywe dyskusje, w jaki sposób powstały" - kończy badaczka.

PAP - Nauka w Polsce

Serwis Nauka w Polsce - [www.naukawpolsce.pap.pl](http://www.naukawpolsce.pap.pl).

## Odkrycie na Śródce



Szczałki ofiar epidemii dżumy z początków XVIII w. odkryli archeolodzy w czasie wykopalisk na poznańskiej Śródce. Do tej pory naukowcy znajdowali w tym rejonie pochówki wyłącznie z czasów panowania pierwszych Piastów

Znaleziska dokonano w sąsiedztwie Ronda Śródka. Archeolodzy od przeszło 20 lat badają tam bardzo rozległą nekropole wczesnośredniowieczną z końca X - początku XIII w. Jej poszczególne fragmenty odkrywano w czasie wykopalisk, prowadzonych w związku z planowaną w tym miejscu budową.

Cmentarz, na którym chowano zmarłych, zlokalizowany był poza poznańskim grodem –

po wschodniej stronie rzeki Cybiny, która wraz z Wartą oblewała Ostrów Tumski.

"Pochówki średniowieczne wkopane są głęboko pod powierzchnią ziemi. Dlatego zaskoczeniem było dla nas odkrycie nad nimi trzech szkieletów" - opowiada PAP kierownik badań, archeolog Paweł Pawlak. Na podstawie położenia grobów i ich wyposażenia, m.in. w postaci srebrnej monety, badacze szacują, że zmarłych pochowano na początku XVIII w.

Ostatnie znane do tej pory pochówki w tym miejscu pochodziły sprzed 800 lat. Później stopniowo teren Śródki był zabudowywany.

"Przypuszczamy, że były to ofiary epidemii - dżumy, która szalała w Poznaniu w 1709 r.

Cmentarze, które znajdowały się wówczas przy świątyniach, tak jak ten przy kościele św. Małgorzaty, zostały zamknięte, gdy choroba zaczęła zbierać śmiertelne żniwo. Dlatego mieszkańcy Poznania musieli sami sobie radzić z pochówkiem swoich bliskich" - mówi Pawlak. Naukowcy szacują, że w wyniku zarazy zmarło aż ok. 65 proc. mieszkańców Poznania, czyli ok. 8-9 tys. osób.

Trzy odkryte groby wykopano tuż obok domostwa, prawdopodobnie na terenie ogródka. Dwoje zmarłych złożono do grobów pośpiesznie, zapewne zawiniętych jedynie w płótno. Tylko jedną osobę umieszczono w sosnowej trumnie. Naukowcy stwierdzili, że była to kobieta w podeszłym wieku.

W czasie tegorocznych prac archeolodzy kontynuowali również badania wczesnośredniowiecznego cmentarzyska - do tej pory po dwóch dekadach wykopalisk naliczyli ok. 500 grobów sprzed 1000 lat. W tym roku ich uwagę przykuł nietypowy pochówek - z reguły

w okresie średniowiecza zmarłych składano do grobu na plecach, na wznak z rękami wzdłuż ciała i głową skierowaną ku zachodowi lub wschodowi. Tymczasem w tym przypadku zmarły był wciśnięty pośpiesznie wykopanej jamy ze zgiętymi nogami i z głową spoczywającą w pozycji pionowej.

"Okazało się też, że korpus zmarłego był odcięty od jego miednicy. Natomiast w szczęcie znaleźliśmy duży fragment naczynia ceramicznego" - opowiada archeolog. W jego ocenie prawdopodobne jest, że zmarłym był przestępcą, na którym wykonano wyrok przez poćwiartowanie.

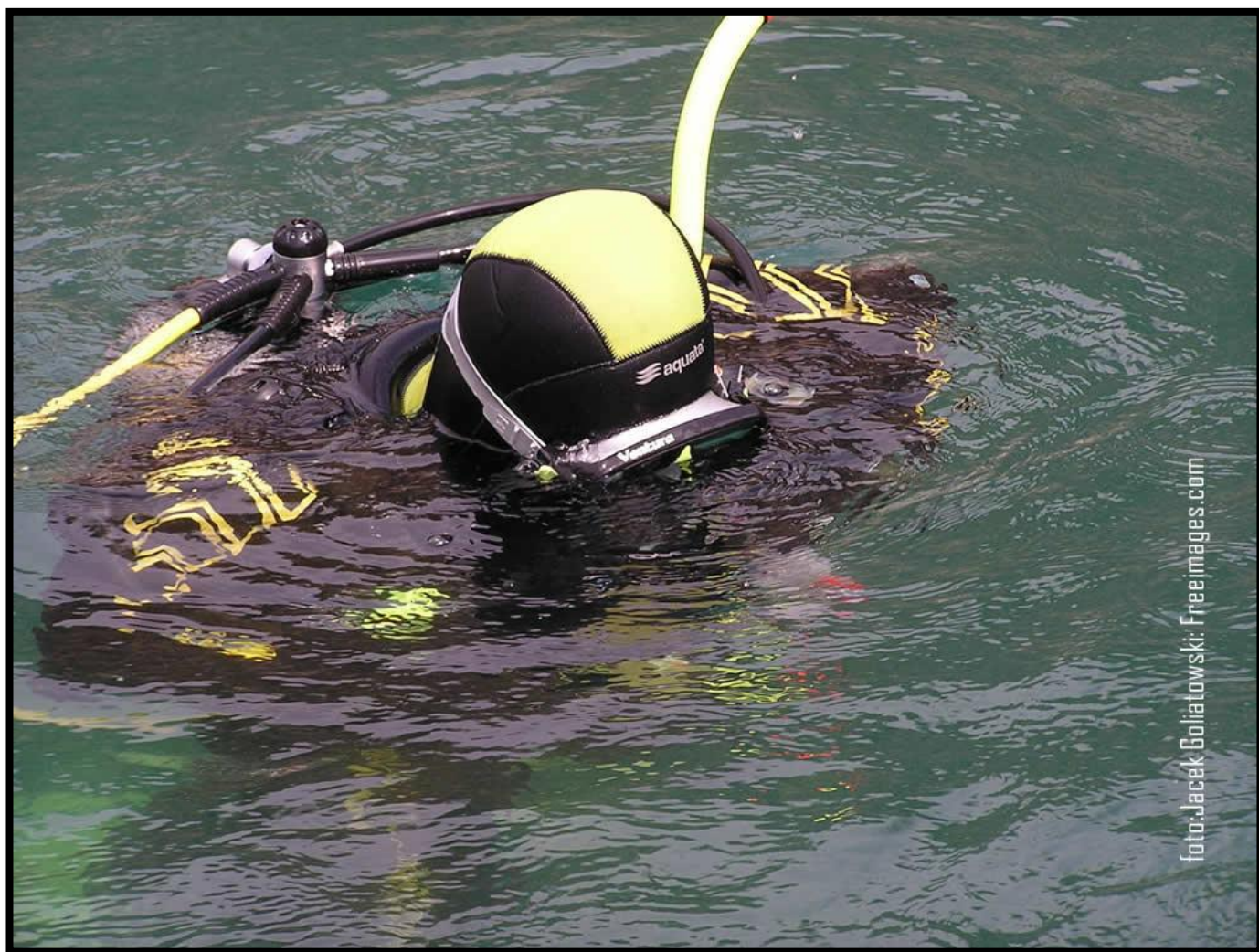
"Zastanawiające jest jednak to, że zmarłego pochowano na poświęconym cmentarzu - z reguły w okresie średniowiecza dla przestępców nie było tam miejsca" - dodaje. Nie można wykluczyć, że o skazańca zatroszczyła się rodzina, której zależało na pochowaniu bliskiego w miejscu spoczynku ogółu społeczności.

PAP - Nauka w Polsce, Szymon Zdziebłowski

Serwis Nauka w Polsce - [www.naukawpolsce.pap.pl](http://www.naukawpolsce.pap.pl).



## Polscy nurkowie odkrywają tajemnice Inków



Śladów po rytualnej działalności Inków poszukiwali polscy naukowcy w trzech jeziorach w rejonie Machu Picchu w Peru - na wysokości ponad 4100 m n.p.m. Nad brzegami jezior znajdują się ceremonialne platformy, z których prawdopodobnie podczas obrzędów składano ofiary.

Szczególnie dwa z badanych w tym roku jezior - Soctacocha i Yanacocha - są bardzo interesujące dla badaczy. Położone są bowiem w sąsiedztwie znanego inkaskiego szlaku Camino Inca łączącego liczne stanowiska archeologiczne ze

słynnym skalnym miastem Machu Picchu. W czasach świetności, czyli ponad 500 lat temu, otaczało je wiele świątyń i osad. Obecnie jest to obszar chroniony Parku Narodowego Machu Picchu i jednocześnie bardzo popularny szlak turystyczny.

"O tym, że warto zajrzeć w głąb jezior przekonaliśmy się już w czasie rekonesansu wokół jezior. Okazało się, że w obu przypadkach tuż przy nich wzniesiono kamienne ceremonialne platformy. To prawdopodobnie z nich w czasie obrzędów składano ofiary" -

opowiada PAP kierownik ekspedycji badawczej nurek i archeolog - dr Maciej Sobczyk z Ośrodka Badań Prekolumbijskich UW. Zespół archeologów podwodnych tworzą oprócz dr. Sobczyka - Mateusz Popek oraz Przemysław Trześniowski.



foto: Boris Gaasbeek: Freeimages.com

Same platformy też zostaną przebadane przez archeologów. Niewykluczone jest, że skoro były to budowle o charakterze kultowym, można spodziewać się ofiar zakładzinowych (czyli składanych w momencie wznoszenia

konstrukcji). Bywało też, że w ich obrębie składano zmarłych.

Wszystkie jeziora, będące celem badań Polaków, znajdują się u stóp lodowca Salcantay, który był przedmiotem kultu dawnych mieszkańców Andów. Zdaniem archeologów pełniły one istotną rolę w inkaskich wierzeniach - z nich

miały wyłonić się w zamierzonych czasach lamy i alpaki - zwierzęta, które pełniły i pełnią nadal ważną rolę w gospodarce Andów. Co Inkowie mogli zatapiać w czasie religijnych uroczystości? Wiadomo, że jeziorze Titicaca na pograniczu Peru i Boliwii Inkowie zanurzali kamienne skrzynie wypełnione złotem i srebrnymi figurkami.

Archeolodzy wiążą duże nadzieje z tym, co być może kryje się na dnie jezior Soctacocha i Yanacocha. W czasie pierwszych badań wykorzystali echosondy i sonar - dzięki temu powstały ich mapy batymetryczne. Z kolei nurkowie pobrali próbkę w postaci

kilkudziesięciocentymetrowego rdzenia z jednego z jezior - to nawarstwienia mułu, który osadzał się przez tysiąclecia. Dzięki ich analizie naukowcy poznają nie tylko dzieje jezior, ale również warunki środowiskowe w rejonie otaczającym zbiorniki.

"Tegoroczne prace były dla nas dużym wyzwaniem logistycznym. Z uwagi na trudny teren całe wyposażenie i zaopatrzenie do głównego obozu trzeba było dostarczyć z

wykorzystaniem mułów, a następnie z uwagi na strome podejścia tragarzy pieszych, dotarcie na miejsce prac zajmowało przeszło dwa dni drogi" - wspomina dr Sobczyk. Doszło również do nieszczęśliwego wypadku - jedno ze zwierząt transportowych spadło ze zbocza.

W zeszłym roku archeolodzy z Ośrodka Badań Prekolumbijskich UW zainaugurowali pionierskie badania zbiorników wodnych, położonych na terenie Parku Narodowego Machu Picchu w Peru. Wówczas przebadali cztery inne jeziora, w tym Humantay. W tym roku badacze powrócili do niego, aby zweryfikować zidentyfikowane uprzednio potencjalne ślady działalności ludzkiej i przetestować sprzęt badawczy skonstruowany specjalnie na potrzeby ekspedycji. Mimo dotarcia do dna, które znajdowało się na głębokości 20 m - naukowcom nie udało się odkryć śladów po dawnych rytuałach.

"Nurkowanie wysokogórskie wymaga rygorystycznego przestrzegania procedur, związanych ze znacznie mniejszym ciśnieniem atmosferycznym, jakie panuje na wysokościach. Tradycyjne głębokościomierze mogą podawać nieprawdziwe wyniki, dodatkowo utrudniając planowanie i realizację nurkowania" - wyjaśnia archeolog podwodny i instruktor nurkowania IANTD, Przemysław Trześniowski.

Nurkowanie wysokogórskie wiąże się więc ze znacznie większym ryzykiem wystąpienia choroby dekompresyjnej, co wymaga również od nurków wysokich umiejętności, związanych z pozycją pod wodą oraz prędkością wynurzania.



Głębsze nurkowanie w Humantay posłużyło naukowcom również do zebrania danych aparatem Dopplera, które zostaną przekazane do analizy przez Krajowy Ośrodek Medycyny Hiperbarycznej w Gdyni. Tablice nurkowe oraz procedury planowania i samego nurkowania opracował specjalnie dla archeologów dr hab. n. med. Jacek Kot.

Wysokogórskie badania podwodne w peruwiańskich Andach realizowane są przez Ośrodek Badań Prekolumbijskich we współpracy z Regionalnym Oddziałem Ministerstwa Kultury w Cusco, Zespołem Badawczym Parku Machu Picchu w ramach projektu: „Funkcja satelitarnych stanowisk w sąsiedztwie Machu Picchu: zespoły Inkaraqay, Chachabamba oraz wysokogórskie jeziora pod Nevado Salcantay (Peru)”, prowadzonego przez prof. Mariusza Ziółkowskiego. Badania w Parku Narodowym Machu Picchu finansowane są z grantów Opus i Preludium Narodowego Centrum Nauki.

Jeziora badane przez Polaków nie tylko położone są na bardzo dużych wysokościach, są również bardzo głębokie. Niesie to za sobą duże ryzyko dla nurków - dotąd na takich wysokościach nie stosowano sonaru ani nie wykonywano nurkowania o charakterze archeologicznym.

PAP - Nauka w Polsce

Serwis Nauka w Polsce - [www.naukawpolsce.pap.pl](http://www.naukawpolsce.pap.pl).

# Lubuszenie

## - zapomniane słowiańskie plemię



W narracji historycznej zajmują poślednie miejsce, tymczasem z najnowszych badań wynika, że liczba znanych grodów i osad Lubuszan - wczesnosłowiańskiego plemienia zasiedlającego obecne tereny zachodniej Polski - dorównywała tym w stołecznej Wielkopolsce.

Historycy i archeolodzy polscy tradycyjnie uznają, że przed powstaniem państwa Piastów tereny obecnej Polski zasiedlały różne plemiona słowiańskie. Wśród najważniejszych wymieniani

są: Wiślanie, Lędzianie, Mazowszanie, Ślężanie, Pomoranie, Polanie - do tych ostatnich najprawdopodobniej należeli Piastowie.

Do dzisiaj trwają jednak spory o to, czy wszystkie z wymienionych plemion faktycznie istniały, i jaki miały być ich dokładny zasięg terytorialny. Ustalenie tego nie jest łatwe dla archeologów, gdyż produkowane przez te społeczności przedmioty nie różniły się wyraźnie między sobą. Ludzie mieszkali też w podobnych

do siebie domostwach i praktykowali zbliżone rytuały pogrzebowe.

Z pomocą archeologom przychodzą historycy. W przypadku części domniemyanych plemion znamy ich nazwy z zapisków średniowiecznych skrybów. Tak też było w przypadku Lubuszan. Niemiecki kronikarz i geograf - Adam z Bremy wymienił ich w księdze "Dzieje biskupów kościoła hamburskiego" (w drugiej połowie XI w), określając ich jako "Leubuzzi".

"Ostatnie dekady przyniosły skokowy przyrost w informacjach na temat wczesnego średniowiecza ziemi lubuskiej" - zauważa w rozmowie z PAP archeolog dr Jarosław Lewczuk. Naukowiec zebrał dane na temat badań wykopaliskowych prowadzonych na stanowiskach archeologicznych z czasów od VII do XIII w. na terenie woj. lubuskiego.

"W ten sposób wyłonił się dość zaskakujący obraz tego obszaru. Okazuje się, że pod względem liczby osad, grodów czy ośrodków kultowych jeszcze w czasach poprzedzających włączenie do państwa Piastów region ten zbyt nie różnił się od Wielkopolski" - mówi dr Lewczuk.

Lubuszanie nie byli zatem wcale zacofani w porównaniu do swoich słowiańskich sąsiadów zza wschodniej miedzy. Wręcz przeciwnie - dr Lewczuk przypomina np. najstarszy znany na terenie słowiańszczyzny zachodniej drewniany most, odkryty przez archeologów w jeziorze Niestysz niedaleko Świebodzina. Wiele wskazuje, że funkcjonował on od połowy VIII do końca IX w. Z kolei z jeziora Długiego koło Chyciny znane są relikty mostu mającego ok. 100 metrów. Ten funkcjonował w latach 60 i 70 X w.

Zdaniem badaczy tereny Lubuszan znalazły się w piastowskiej strefie wpływów dopiero na przełomie X i XI w. Świadczą o tym pochodzące z tych czasów ślady walk w postaci spalenizny znajdowane na części grodów - m.in. w Grodziszczu niedaleko Świebodzina. Są to zapewne świadectwa po wojnie między Piastami a Lubuszanami, którą przegrali ci ostatni.

Z obliczeń dr. Lewczuka wynika, że w okresie od VI/VII do połowy XIII w. na terenie Lubuskiego funkcjonowało blisko 30 grodów, z czego 15 istniało już w okresie plemiennym, czyli przed podbojem Piastów. Dr Lewczuk zwraca uwagę, że były to założenia zdecydowanie mniejsze od tych, które powstawały później w grodach stołecznych we Wrocławiu czy Gnieźnie. Na potrzeby tych pierwszych używano 6-8 tys. m sześciennych drewna (aby wznieść fortyfikacje), a późniejszych nawet trzy razy więcej. Archeolog uważa, że przypadku jedenastu spośród grodów plemiennych ich zasiedlenie trwało również w czasach piastowskich. Na przykład w przypadku Grodziszcza archeologom udało się ustalić, że najpóźniejsza twierdza powstała już według schematu znanego z terenu Wielkopolski.

Do tej pory archeolodzy odnotowali też ponad 200 stanowisk z VI/VII-poł. X w., które nie posiadają własnej formy terenowej - mogą być to zatem m.in. wsie i cmentarzyska. W większości z nich nie przeprowadzono wykopalisk, a wiek reliktyw, które być może kryją się pod powierzchnią ziemi, oszacowano na podstawie zalegających na powierzchni ziemi naczyń ceramicznych. Badacz szacuje, że przed najazdem Piastów populacja Lubuszan wynosiła ok. 15-20 tys. osób. W okresie wczesnopiastowym liczba ludności zwiększyła się zapewne do 30-35 tys. mieszkańców.

"Trudno wyróżnić ostre granice terytorium, na którym Lubuszanie żyli, jednak w mojej ocenie istnieją mocne materialne podstawy, aby ich lokować na obszarze dzisiejszej Ziemi Lubuskiej, rozumianej jako splot rzeczny Odry, Warty, Noteci i Obry" - uważa archeolog. Zastrzega, że co prawda tak zarysowane granice nie były nieprzekraczalnymi barierami, ale pozwalały na stopniowe wyodrębnianie się rejonu w wyniku różnego rodzaju zdarzeń wewnętrznych i zewnętrznych.

Nie ma jasnej odpowiedzi, dlaczego Lubuszanie podporządkowali się Piastom, mimo że technologicznie od nich nie odbiegali. Posiadali też dość liczne grody. "To raczej nie był podbój w typie nowożytnych wojen - tak się wtedy nie prowadziło walk. Nie chodziło o wyniszczenie,

ale o zawłaszczenie, w celu przejęcia kontroli nad zasobami" - uważa dr Lewczuk.

Pierwsza wzmianka o Lubuszanach pochodzi dopiero z XI w. może świadczyć - zdaniem archeologa - o tym, że tożsamość plemienna pojawiła się w tym rejonie (a może wybuchła na nowo albo została dostrzeżona przez obserwatorów zewnętrznych?) dopiero po anarchii w państwie, którą spowodował najazd czeskiego króla Brzetysława w 1038 r.

"Ten, dość niespodziewany wówczas dla wszystkich i bardzo dramatyczny, splot czynników wewnętrznych i zewnętrznych mógł wywołać chęć podkreślenia własnej odrębności – utraconej niedawno na rzecz władzy Piastów w początkach wieku XI" - mówi dr Lewczuk.

PAP - Nauka w Polsce

Serwis Nauka w Polsce - [www.naukawpolsce.pap.pl](http://www.naukawpolsce.pap.pl).

W jego ocenie Lubuskie od setek lat było terenem "na styku" - swego rodzaju tygłem, o czym mogą świadczyć późniejsze losy Ziemi Lubuskiej, traktowanej jako "kość niezgody" i karta przetargowa w sporach pomiędzy Polską i Niemcami. Również i w polityce wewnętrznej w dobie rozbitcia dzielnicowego Polski ziemia ta była traktowana dość szczególnie i należała raz do Śląska, a raz do Wielkopolski.

Znaczenie Ziemi Lubuskiej uległo ostatecznemu zmarginalizowaniu dopiero na skutek układu Bolesława Rogatki z arcybiskupem Wilbrandem w 1249 r. i wejściu w zależność lenną od margrabiów brandenburskich. W granicach Polski rejon ten znalazł się dopiero w 1945 r.



**NOWOŚĆ**  
**MXSPORT**



*Prawdopodobnie najlepszy  
wykrywacz na rynku!*

## Monety

### Jan Kazimierz 1649-1668 cz.3



Dwugrosz 1650, Wschowa, Kurp. 82

---



Dwugrosz 1651/0, Bydgoszcz, Kop. 1586 R8, Kurp. 102, Gum. 1666, bardzo rzadki typ z datą po bokach korony, ostatnia cyfra w dacie przerobiona z 0 na 1

---



Dwugrosz 1651, Bydgoszcz, Kop. 1587, Kurp. 99, Gum. 1666

---



Dwugrosz 1651/0, Bydgoszcz, drugi egzemplarz, ostatnia cyfra w dacie przerobiona z 0 na 1

---



Dwugrosz 1651, Elbląg, Kop. 7111, Kurp. 1091, Gum. 1963, - *rzadki typ monety*

---



Dwugrosz 1651, Gdańsk, Kop. 7607, Kurp. 827, Gum. 1902

---



Dwugrosz 1651, Wschowa, Kop. 1584, Kurp. 98, Gum. 1668

---



Dwugrosz 1652, Wschowa, Kop. 1589 R6, Kurp. 103 R6, Gum. 1669, T.8, - *bardzo rzadki rocznik*

---



Półtorak 1661, Poznań, Kop. 1567, Kurp. 65 R4, Gum. 1657, T.8

---



Półtorak 1662, Poznań, Kop. 1572, Kurp. 73, Gum. 1660

---



Szelać 1650 CG, Bydgoszcz, Kop. 1542, Kurp. 17, Gum. 1634, *bardzo rzadka moneta*

---



Szelać 1666, Malbork, Kop. 3602, Kurp. 763, Gum. 1872, na awersie litery GFH, *rzadki*

---

Katalog został przygotowany w oparciu o materiał dostarczony przez Poznański Dom Aukcyjny oraz Podlaski Gabinet Numizmatyczny. Przedstawione zdjęcia pozostają własnością PDA&PGN.  
[www.pgnum.pl](http://www.pgnum.pl)

*'Bringing The World of Metal Detecting Together'*

# DETECTIVAL RALLY 2017

SEPTEMBER 15th-17th

FOR THE EVENT DETAILS VISIT OUR WEBSITE  
**WWW.DETECTIVAL.COM**

ALL PROCEEDS FROM THE RAFFLE WILL BE SPLIT BETWEEN  
**ASTHMA UK AND THE LULLABY TRUST**

\* FAMILY SPECTATORS & NON-DETECTING GUESTS

MUST ATTEND WITH A PAYING ATTENDEE TO GAIN ENTRY TO THIS EVENT \*

**1000 ACRES OF NEW UNDETECTED LAND**

PLEASE READ OUR FULL TERMS & CONDITIONS ON THE WEBSITE.

\*\*SUBJECT TO CHANGE.\*\*

**Nr Charlbury & Burford, Oxfordshire**



## Arabia – niedoceniona potęga starożytnego świata



foto: Francisco Anzola, Wikimedia Commons, CC BY-SA 2.0

Kojarzony jest głównie z pustynią, ropą naftową i bogatymi szejkami. Tymczasem Półwysep Arabski odgrywał ważną rolę już w starożytności - to stamtąd władcy mezopotamscy sprowadzali kadzidło czy wielbłądy, a bogate miasta rozkwiwały dzięki pośrednictwie w handlu nad Zatoką Perską. O Arabii opowiada PAP prof. Piotr Bieliński.

"Półwysep Arabski w historiografii zachodnioeuropejskiej jawił się długo jako miejsce peryferyjne. Już dla starożytnych Greków była to kraina egzotyczna i w dużej mierze nieznana" - opowiada naukowiec z Instytutu Archeologii UW i wieloletni dyrektor Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej UW, prof. Piotr Bieliński. Taki obraz Arabii rysował się w

przekazach greckich czy tekstach biblijnych - dodaje.

Dla archeologów rejon Półwyspu Arabskiego jest nadal w dużej mierze białą plamą. Ze względów ideologicznych władze położonych tam państw i królestw nie były bowiem zainteresowane poznawaniem swojej przeszłości sprzed czasów proroka Mahometa.

Jednak powoli się to zmienia. "Dziedzictwo staje się coraz ważniejszym elementem tożsamości narodowej, również w świecie arabskim, choć wykopaliska archeologiczne na terenie świętych miasta Arabii Saudyjskiej - Mekki czy Medyny - są nadal nieosiągalne" - zauważa prof. Bieliński.

"Działamy w kilku miejscach - w zachodniej Arabii Saudyjskiej nad Morzem Czerwonym, w interiorze Omanu, Kuwejcie i w Dubaju w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Dzięki temu, że badane przez nas stanowiska znajdują się w bardzo odmiennych lokalizacjach, jesteśmy w stanie kompleksowo spojrzeć na dzieje półwyspu" - zauważa prof. Bieliński. Wszystkie misje prowadzone są pod auspicjami Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej UW.

Jednym z większych sukcesów Polaków było odkrycie w ostatnich sezonach badawczych dużej pradziejowej osady w Kuwejcie.

"To największa rozpoznana osada prehistoryczna, znana do tej pory na Półwyspie Arabskim" - zauważa prof.

Bieliński. Pochodzi ona z przełomu VI i V tysiąclecia p.n.e. Archeologa zaskoczyła sama lokalizacja tej osady, położonej na pustyni kilka kilometrów od morza. „Ona jakby nie miała prawa tam istnieć, bo jej mieszkańcy, w odróżnieniu od swych sąsiadów z północy, nie mogli tam utrzymywać się z rolnictwa” - wyjaśnia.

Nie jest jasne, czym trudnili się jej mieszkańcy - zauważa naukowiec. Wiadomo jednak, że na masową skalę wykonywali paciorki z lokalnych muszli. Być może nimi handlowali?

"Zaskakujący jest też kształt pradziejowych domostw. Dotychczas znane na półwyspie są okrągłe lub obłe w planie. Tymczasem te odkryte przez mój zespół są prostokątne - czyli takie same, jak w Mezopotamii w tym samym okresie" - opowiada naukowiec.

Śladów świadczących o bliskich kontaktach z północą jest więcej. Większą

foto: Joel from Manama, Bahrain; Wikimedia Commons; CC BY-SA 2.0



W związku z wojną domową w Syrii i w Iraku polscy archeolodzy musieli zaprzestać badań w tych państwach. Kilka zespołów przeniosło się jednak w rejon Półwyspu Arabskiego. Dzięki temu badacze znad Wisły przyczyniają się do poznania ciągle słabo znanych dziejów Arabii.



część znajdujących naczyń ceramicznych importowano właśnie z Mezopotamii. Na razie jednak prof. Bieliński nie jest w stanie wyjaśnić, kim byli mieszkańcy osady. Nie można jednak wykluczyć, że przybyli znad Tygrysu i Eufratu.

Natomiast w Omanie Polacy chcieliby natrafić na pozostałości osad, a może i miast z 2. poł. III tysiąclecia p.n.e., kiedy to region ten, znany jako kraina Magan, był ważnym źródłem miedzi dla Mezopotamii. Jeden z królów akadyjskich chwali się nawet zdobyciem kilkudziesięciu tamtejszych miast.

"Był to teren szczególnie bogaty nie tylko w złoża miedzi, lecz także żelaza, dlatego o niego walczone" - dodaje prof. Bieliński. Naukowiec zaznacza, że polscy archeolodzy pracują tam w głębokim interiorze półwyspu, co jest dość dużą

rzadkością. Pod względem rozpoznania archeologicznego teren ten jest wciąż dziewiczy. Na razie, po dwóch sezonach badań, naukowcy nie znaleźli żadnego z zaginionych miast. Natknęli się natomiast na monumentalne kamienne grobowce z tego okresu i pozostałości osady z okresu późniejszego.

Z kolei w Dubaju w Zjednoczonych Emiratach Arabskich zespół prof. Bielińskiego bada centrum ceremonialno-kultowe, a nad Morzem Czerwonym w Arabii Saudyjskiej naukowcy pod kierunkiem prof. Michała Gawlikowskiego prowadzą wykopaliska w porcie przeładunkowym sprzed ok. 1500 lat.

O Półwyspie Arabskim wspominano w dawnych tekstach głównie w kontekście groźnych koczowników, którzy od czasu do czasu organizowali łupieżcze wyprawy, których celem była Mezopotamia czy Egipt. Jak opowiada prof. Bieliński, historykom znane są trzy główne fale migracji. Pierwsza miała miejsce na początku II tysiąclecia p.n.e. Wtedy z Arabii na północ ruszyli Amorycy (tym samym przyczynili się do upadku pierwszego mezopotamskiego państwa Sumerów i położenia podwalin pod państwo babilońskie. Lud ten dotarł wcześniej nawet do Egiptu, gdzie

przyczynił się do pierwszego odnotowanego przez starożytnych skrybów okresu niepokojów i chaosu w kraju faraonów (tzw. I Okresu Przejściowego).

Drugą falę stanowili Aramejczycy w XI w. p.n.e., a trzecią - która ukształtowała w dużej mierze kształt dzisiejszego Bliskiego Wschodu i północnej Afryki - Arabowie w VII w. n.e.

"Gdy mieszkańcy Arabii pozostawali w granicach swojego półwyspu - ich losy i dzieje nie zostały nigdzie odnotowane, tymczasem to właśnie wtedy powodziło się im najlepiej. Wyprawy były spowodowane trudnymi warunkami życia, na przykład okresami suszy" - wskazuje naukowiec. Siłą rzeczy najwięcej wiadomo o północnych krańcach półwyspu, które znajdowały się na styku z Mezopotamią, czyli o krainach Edom, Moab i Ammon położonych w Transjordanii (to obecnie terytorium Syrii, Jordanii i Arabii Saudyjskiej).

Władcy kształtujących się w III tysiącleciu p.n.e. cywilizacji w Mezopotamii i Egipcie znali zasoby, które oferował Półwysep Arabski. "Z południowych krańców Arabii pozyskiwano cenione w czasie uroczystości religijnych kadzidło, a w późniejszym czasie również rudy metali - miedzi i żelaza" - wylicza prof. Bieliński. Początkowo korzystano z kupców - pośredników, bo dotarcie do tych rejonów wiązałoby się z organizacją olbrzymiej ekspedycji. Ta musiałaby pokonać nawet ponad 1000 km.

"Dopiero Rzymianom udało się dotrzeć do południowej części półwyspu, którą nazwali Arabią Felix. Był to jednak szlak nie do utrzymania - po kilku dekadach

obecności opuścili przyczółek. W przyszłości, gdy chcieli pozyskać kadzidło, korzystali z pośrednictwa kupców" - opowiada archeolog.

Niezwykle cenionym zasobem (nawet obecnie na Bliskim Wschodzie), z którego zasłynęła Arabia, są wielbłądy. Naukowcy nie są zgodni, kiedy zwierzęta te zostały udomowione. Stało się to najpóźniej na przełomie XI/X w. p.n.e. Pewne jest natomiast, że właśnie w tym rejonie je oswojono - potem były na masową skalę wykorzystywane m.in. na potrzeby handlu dalekosiężnego, z którego słynęli jego mieszkańcy. "Warto zaznaczyć, że to właśnie ze środowiska kupieckiego wywodził się Mahomet - prorok i twórca Islamu" - dodaje prof. Bieliński.

Arabia bardzo szybko znalazła się w orbicie wpływów cywilizacji mezopotamskich - stało się to już w końcu III tysiąclecia p.n.e. W czasach późniejszych Asyryjczycy przywiązywali dużą wagę do bezpieczeństwa wymiany handlowej w obrębie swojego imperium - obejmowało to także szlaki handlowe (również te wiodące na dalekie południe), w tym - Arabię. W ocenie prof. Bielińskiego w ten właśnie sposób powstał swego rodzaju wspólny rynek w tej strefie, który był kontrolowany i przejmowany przez kolejne królestwa i imperia.

"Ze względu na to, że badania Arabii cieszą się coraz większym zainteresowaniem, chcemy w Instytucie Archeologii UW stworzyć nową specjalność. Warto zaznaczyć, że nie ponosimy kosztów badań na terenie Kuwejtu i Zjednoczonych Emiratów Arabskich, gdzie są one finansowane przez lokalne władze" - zaznacza prof. Bieliński.

PAP - Nauka w Polsce

Serwis Nauka w Polsce - [www.naukawpolsce.pap.pl](http://www.naukawpolsce.pap.pl).

## Tajemnice Wyspy Wielkanocnej



Mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej, czyli Rapa Nui, stworzyli unikatową kulturę i zwyczaje. Mimo że naukowcy zgłębiają jej dzieje od wielu dekad, nadal nie uzgodniono, kiedy została zasiedlona, ani w jaki sposób rozszyfrować unikatowe pismo rongorongo.

Wyspa Wielkanocna, położona na Pacyfiku, ma powierzchnię zbliżoną do Katowic. To jedno z najbardziej odosobnionych miejsc na Ziemi - do najbliższej zasiedlonej wyspy na Polinezji jest ok. 2000 km, a do stałego lądu - Ameryki Południowej - ok. 3600 km.

Została odkryta przez Europejczyków dopiero w 1722 r. w niedzielę wielkanocną, co jest źródłem jej dzisiejszej nazwy.

"Dziś nie ma już żadnych wątpliwości, że ludzie przybyli na Wyspę Wielkanocną z

Polinezji. Ten fakt potwierdzają badania genetyczne" - opowiada w rozmowie z PAP dr hab. Zuzanna Jakubowska-Vorbrich z Instytutu Studiów Iberyjskich i Iberoamerykańskich Uniwersytetu Warszawskiego. Badaczka analizuje teksty pierwszych podróżników, którzy dotarli do Rapa Nui.

W jej ocenie dla XVIII-wiecznych badaczy jasne było, że ludzie przybyli na Wyspę Wielkanocną z Polinezji - oczywiście były dla nich podobieństwa w postaci zwyczajów, rysów twarzy, ubiorów czy

języka. Dopiero później pojawiły się inne koncepcje, w tym Thora Heyerdahla, który twierdził, że jedna z fal osadników trafiła tam z Ameryki Południowej. Żeby przekonać do tego pomysłu opinię publiczną, przeprowadził nawet eksperyment polegający na przepłynięciu tradycyjną tratwą z wybrzeży Ameryki Południowej do wysp Polinezji.

"Obecnie uważa się, że na wyspę ludzie przyплыли w jednej fali osadniczej prawdopodobnie z wyspy Mangarewa, mogli też mieć związki z Pitcairn" - dodaje ekspertka. Zagadką pozostaje jednak motywacja żeglarzy. Być może była to chęć zdobycia nowych terenów, a może przeludnienie? - przypuszcza dr hab. Jakubowska-Vorbrich.

Długo uważano, że nastąpiło to nawet 1500 lat temu, na co miały wskazywać datowania radiowęglowe. Obecnie część badaczy sądzi, że uległy zanieczyszczeniu, stąd uzyskano niewłaściwy wynik. "Polinezyjczycy przybyli do brzegów wyspy prawdopodobnie między X a XIII w." - mówi badaczka. Zwraca przy tym uwagę, że nie było to wcale najdalej wysunięte na wschód miejsce, do którego dotarli.

"Z pewnością pojedyncze łodzie musiały dobić też do kontynentu amerykańskiego i powrócić do Polinezji. Dowodem na to są powszechne w Oceanii bataty i tykwy, które pochodzą właśnie z tego kontynentu" - zauważa badaczka. Amerykanie zaś zawdzięczają Polinezyjczykom kury - zwierzęta o azjatyckiej proweniencji.

Zagadką natomiast pozostaje unikatowe pismo rongorongo.



Inne ludy polinezyjskie nie miały własnego systemu pisma. Dlaczego zatem pojawiło się na jednej z najbardziej osamotnionych wysp świata? Nauka nie znalazła jeszcze odpowiedzi na to pytanie.

"To pismo ideograficzne, podobne do hieroglifów. Składa się z symboli przedstawiających m.in. zwierzęta" - opowiada dr hab. Jakubowska-Vorbrich.

Do naszych czasów zachowało się 25 zabytków, na których znajdują się teksty wyryte w piśmie rongorongo. Zdania odczytywano w systemie odwróconego bustrofedonu - należało obracać przedmiot w czasie czytania. W opinii badaczki pismo znała elita wyspy. Niestety po przybyciu Europejczyków jego znajomość szybko poszła w zapomnienie - w XIX w. na wyspę zapuszczali się handlarze niewolników, którzy porwali dużą część mieszkańców wyspy łącznie z jej wodzem.

Na szczęście przetrwały przekazy mówione na temat znaczenia i funkcji moai - czyli monumentalnych kamiennych posągów, ukazujących sylwetki ludzi z dużymi głowami aż do bioder. Stały się symbolem wyspy ze względu na swój bardzo charakterystyczny wygląd. Jak wskazuje badaczka, różniły się wielkością - niektóre ważyły kilka, a największe kilkadziesiąt ton. Według szacunków badaczy wykuto około tysiąca sztuk.

"Co do tych szacunków należy być ostrożnym, bo mieszkańcy wyspy zakopali część moai - nie jest jasne dla nas, dlaczego tak się stało" - zaznacza badaczka. Jak wyjaśnia, były to wizerunki protoplastów - w tłumaczeniu z języka rapanui były to "żyjące twarze przodków", do których modlono się. Wierzano, że z czasem przodkowie coraz dalej oddalają się w zaświaty.

Jak opowiada Jakubowska-Vorbrich, to właśnie dlatego po którymś z kolejnych pokoleń wykuwano nowy posąg - w ten

sposób powstawał wizerunek przodka bliższego żyjącym. Starsze wykorzystywano czasami jako budulec platform, na których stawiano kolejne. Wśród posągów dominują przedstawienia mężczyzn, ale są też kobiety.

"Kilkaset lat temu widok, jaki ukazywał się wyspiarzom, musiał być zupełnie odmienny od dzisiejszego - po pierwsze w momencie postawienia posągu kamień miał jasną żółto-pomarańczową barwę. Oczy posągów - wkładane podczas ceremonii - wykonywano z białego koralu, ze źrenicą z obsydianu - czarnego szkła wulkanicznego. Z kolei platformy, na których je umieszczano, zamarkowano na krawędziach obłożone były czerwonym kamieniem. Teraz posągi i platformy są po prostu szare" - opowiada badaczka, która przygotowuje właśnie książkę na temat postrzegania barw przez mieszkańców Rapa Nui i pierwszych Europejczyków, którzy przybyli na wyspę.

Zaznacza, że kolor z pewnością odgrywał ważną rolę wśród mieszkańców wyspy. Na przykład tylko osoby wywodzące się z elity mogły nosić farbowane ubrania. Szczególnie ceniono sobie czerwień i żółć, ale zupełnie nie znano i nie stosowano koloru zielonego i niebieskiego.

Naukowcy nadal spierają się, w jaki sposób transportowano posągi z kamieniołomów. Zdaniem części z nich jako rolek używano bardzo cenionych (bo z czasem coraz rzadszych na Rapa Nui) drzew. Według innych przeciągano je na linach, w pionie. Pomocne w tym miały być kamienne drogi, które znajdują się na wyspie - niwelować miały one zagłębienia i przewyższenia, dzięki czemu transport miał być prostszy. Pierwsza wersja stoi pod znakiem zapytania z tego względu, że na wyspie rosły głównie palmy, które nie są drzewami wytrzymałymi na wielotonowy nacisk.

"Według jednej z legend posągi miały chodzić. A to wszystko dzięki +mana+ - co można tłumaczyć jako siłę magiczną, autorytet, ale też wiedzę. Wygląda na to, że posągi +szły+ po prostu dzięki nauce - posiadano wiedzę, która pozwalała przesunąć ten ciężar" - uważa Jakubowska-Vorbrich.

Rapa Nui zamieszkiwało jedno plemię, na które składało się 10-11 klanów. Każdy z nich miał własną platformę do stawiania posągów - badaczka podkreśla, że były one umieszczane tylko na wybrzeżu, ale twarze posągów były zawsze skierowane do wnętrza wyspy. "To przecież jej mieszkańców miały chronić i wspierać" - zaznacza.

Władzę nad wyspą sprawowali dziedzicznie przedstawiciele tylko jednego klanu. Natomiast spośród wszystkich wybierany był przywódca duchowy – jednak ta funkcja pojawiła się najprawdopodobniej później w historii wyspy. Każdy z kandydatów wskazywał zawodnika, który w jego imieniu brał udział w specjalnej konkurencji. Polegała na jak najszybszym znalezieniu jaja rybitwy czarnogrzbieter na sąsiadującej wysepce.

"Wybrany w ten sposób przywódca duchowy sprawował pieczę nad wyspą w sposób szczególny, bo swoją +kadencję+

spędzał w odosobnieniu – w jaskini lub chacie, gdzie nie mógł rozmawiać z nikim prócz pomocnika, myć się czy obcinać paznokci" - opowiada Jakubowska-Vorbrich. Lokalni mieszkańcy przebywali doń ze swoimi prośbami, które spełnić miał ich duchowy lider. W ocenie niektórych badaczy mógł być on uważany za ziemskie wcielenie jednego z bogów.

W popularnych doniesieniach pojawia się czasami informacja, że w momencie przybycia Europejczyków na wyspę stan jej środowiska był opłakany, a lokalni mieszkańcy przymierali głodem.

"Taki obraz nie jest prawdziwy. Nie mamy żadnych dowodów na klęskę głodu w tym okresie. Wręcz przeciwnie, dzięki badaniom w ostatnich latach dowiedzieliśmy się, że rolnictwo na Wyspie Wielkanocnej stało na bardzo wysokim poziomie, a dzieci były karmione piersią do 3. roku życia" - argumentuje ekspertka. W jej ocenie prawdziwa katastrofa nastąpiła na Wyspie Wielkanocnej dopiero w XIX w., kiedy dotarli tam łowcy niewolników.

"Był to koniec dla struktury społecznej, która istniała na wyspie od kilkuset lat. Pustkę wypełnili misjonarze - dziś mieszkańcy Rapa Nui są chrześcijanami, choć część dawnych wierzeń przetrwała" - stwierdziła badaczka.

PAP - Nauka w Polsce, Szymon Zdziebłowski

Serwis Nauka w Polsce - [www.naukawpolsce.pap.pl](http://www.naukawpolsce.pap.pl).

## Dania

### *9x23 Bergman - Bayard*



Producent: Haerens Ammunitionaarsenal,  
Kopenhaga; wyprodukowano w 1942 roku



Producent: Haerens Laboratorium,  
Kopenhaga; wyprodukowano w 1934 roku

### *8x58 R Krag*



Producent: Haerens Ammunitionaarsenal,  
Kopenhaga; wyprodukowano w 1942 roku



Producent: Haerens Laboratorium,  
Kopenhaga; wyprodukowano w 1937 roku

---



Haerens Laboratorium, Kopenhaga;  
wyprodukowano w 1911 roku

---

### ***11,7x45R Remington***



Producent: Haerens Laboratorium,  
Kopenhaga; wyprodukowano w 1915 roku

---

JARO

## Mord na Wołyniu, t.1

Trudny Wołyń - pełna historia złożonej tragedii.

Wśród wielu książek, które napisano o Wołyniu, brakuje takich, które w całości opisywałyby kontekst tamtejszej tragedii. Z myślą o czytelnikach chcących go poznać, Marek Koprowski podjął się tę lukę wypełnić.

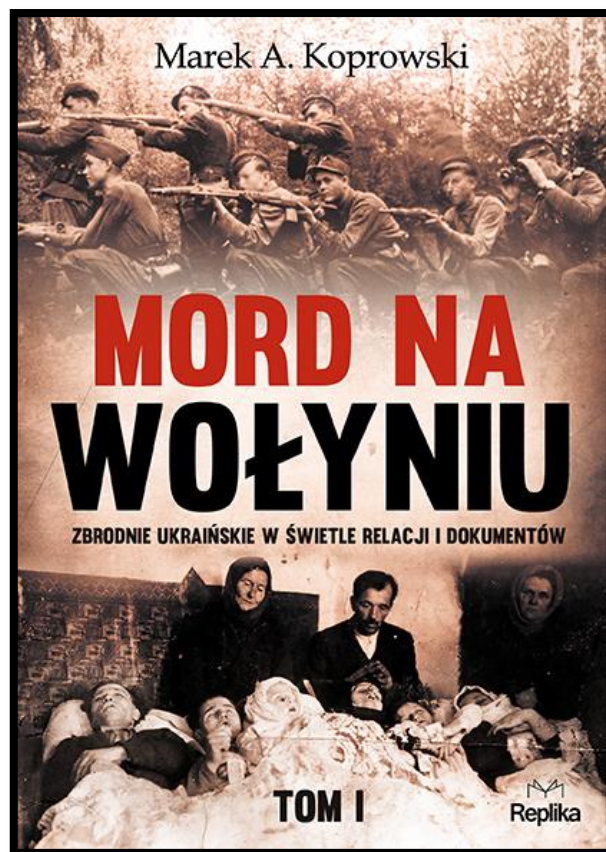
Ukazuje zbrodnie ukraińskie w świetle zachowanych dokumentów, pamiątek, relacji i świadectw. Nie tylko polskich, ale także ukraińskich i rosyjskich. Cytuje je bardzo obficie, co pozwala samodzielnie wyrobić sobie pogląd na rozwój wydarzeń, które rozegrały się na Wołyniu w czasie II wojny światowej.

Materiału jest bardzo wiele. Wśród ośrodków samoobrony najbardziej eksponowane są Zbaraż i Zasmyki, podczas gdy mało mówi się o Zasłuczu, który odegrał równie ważną rolę w ratowaniu ludności polskiej przed nożami i siekierami Ukraińców. Na wschodzie Wołynia działało też wiele mało znanych ośrodków samoobrony. Niektóre powstawały ad hoc.

W kolejnych rozdziałach autor dowodzi jednoznacznie, iż ludobójstwo dokonane przez Ukraińców na Wołyniu wynikało z ideologii, wytworzonej przez Organizację Ukraińskich Nacjonalistów. Ukazuje kulisy bezpośredniej współpracy OUN z Abwehrą w czasie agresji Niemiec na ZSRR oraz późniejszej, kiedy to Niemcy oparli swą władzę na Wołyniu na Ukraińcach, z których sformowali administrację i policję – głównych sprawców holocaustu na Wołyniu. Koprowski przedstawia także proces powstawania na Wołyniu partyzantki sowieckiej i polskiej oraz jej stosunek do OUN-UPA.

Opisuje przygotowania OUN-UPA do uruchomienia na Wołyniu maszyny zbrodni, jako narzędzia walki o przejęcie kontroli nad całym regionem i usunięcie z niego wszystkich elementów niepożądanych, w tym Polaków. Nawiązuje do współczesnej polityki historycznej Ukrainy, z której wynika, że to nie Polacy byli ofiarami ukraińskich mordów i ludobójstwa, ale na odwrót: to Polacy mordowali Ukraińców. Dalej stara się znaleźć odpowiedź na pytanie, co sprawiło, że Ukraińcy, bez żadnych skrupułów, z takim zezwierzeniem mordowali polskie skupiska.

Tom 1 kończy opis reakcji polskiego podziemia na ukraińskie zbrodnie i mordy ludności polskiej. Szeroko omawia działalność polskich ośrodków samoobrony w Przebrażu i Zasmykach.





Do napisania tej książki skłonili mnie uczniowie jednego z krakowskich gimnazjów na Targach Książki w Krakowie. Z zainteresowaniem obejrzeni prezentowane na nich tomy wspomnień Wołyniaków z okresu rzezi wołyńskiej. Mówili, że owszem, są bardzo dobre, ale nie oddają całości wołyńskiego ludobójstwa. Chcieliby przeczytać jakąś pracę, która ujmowałaby cały problem i stanowiła wprowadzenie do lektur wspomnień. Postanowiłem taką książkę o Wołyniu dla Polaków napisać, choć nie była to sprawa łatwa. Książek o Wołyniu istotnie jest sporo. Nawet jednak w tych najlepszych, które opisują całą prawdę o ludobójstwie Polaków, nie ujawniają jednego. Nie oddają emocji i przeżyć ofiar, bez których cała tragedia wołyńska staje się wręcz nudna. Tu zarżnęli, tam zarżnęli! Tu dwieście, a tam trzysta osób itd. Tam wymordowano pięćdziesiąt wsi, a gdzie indziej sto pięćdziesiąt! Postanowiłem więc napisać książkę o tragedii wołyńskiej, która będzie nie tylko podawać fakty i dane, ale przede wszystkim towarzyszące im przeżycia i emocje. Uznałem, że dziesiątkom tysięcy bestialsko zamordowanych przez Ukraińców Polaków się to najzwyczajniej należy! Wszyscy, którzy chcą poznać prawdę o Wołyniu, muszą dowiedzieć się, że śmierci tysięcy Polaków na Wołyniu towarzyszyły niewyobrażalne cierpienia, że nad mordowanymi polskimi wsiami unosił się przeraźliwy krzyk ofiar, ginących w męczarniach! Nie powinni być oni tylko sumą liczb w zestawieniach historyków na kartach monumentalnych dzieł, które pokrywa kurz na półkach bibliotek.

Marek A. Koprowski

Marek Koprowski jest jednym z najciekawszych polskich popularyzatorów historii. „Do Rzeczy”

Marek A. Koprowski

Pisarz, dziennikarz, historyk zajmujący się tematyką wschodnią i losami Polaków na Wschodzie. Plonem jego wypraw i poszukiwań jest wiele książek, z czego kilkanaście ukazało się nakładem Wydawnictwa Replika. Za serię Wołyn. Epopeja polskich losów 1939–2013 otrzymał Nagrodę im. Oskara Haleckiego w kategorii „Najlepsza książka popularnonaukowa poświęcona historii Polski w XX wieku”. Jest też laureatem nagrody „Polcul – Jerzy Bonicki Foundation” za działalność na rzecz utrzymania kultury polskiej na Wschodzie.

## Odkrycie pradziejowego centrum kultowego w Egipcie



Konstrukcje megalityczne, kurhany i nietypowe kamienne struktury sprzed ponad 5 tys. lat odkryli w Berget el-Szeb na Pustyni Zachodniej w Egipcie archeolodzy z Poznania. Zdaniem naukowców było to duże, lokalne centrum kultowo-ceremonialne.

Wiele wskazuje na to, że na terenach dzisiejszej Pustyni Zachodniej Egiptu jeszcze ponad 5 tys. lat panowały warunki klimatyczne sprzyjające hodowli zwierząt. Osady i pastwiska ówczesnych pasterzy

koncentrowały się wokół licznych sezonowych jezior zasilanych wodami opadowymi.

Naukowcy mają na to liczne dowody - kilkadziesiąt kilometrów na północ od miejsca bieżących odkryć położone jest gigantyczne paleojezero w Nabta Playa, wokół którego znajdują się pozostałości kilkuset neolitycznych obozowisk i osad. Również tam mieści się największe, najbardziej złożone i kompletne pradziejowe centrum ceremonialne w

Afryce, funkcjonujące pomiędzy 7 tys. do 3,5 tys. lat p.n.e.

Nowo odkryte centrum kultowe w Berget el-Szeb sprzed ponad 5 tys. lat zlokalizowane jest około 150 km na zachód od Abu Simbel i tym samym doliny Nilu. Polscy archeolodzy prowadzą badania na rozległych terenach Pustyni Zachodniej Egiptu już blisko 60 lat, działając w ramach Combined Prehistoric Expedition (CPE), czyli międzynarodowej ekspedycji badawczej oraz indywidualnych projektów naukowych Instytutu Archeologii i Etnologii PAN. Badania w Berget el-Szeb odbyły się w ramach większego projektu Narodowego Centrum Nauki „W oczekiwaniu na deszcz”, którego kierownikiem jest prof. Michał Kobusiewicz.

Wokół dawnego jeziora archeolodzy odkryli w kilku miejscach skupienia: kurhanów, różnorodnych struktur kamiennych oraz konstrukcji megalitycznych, czyli wzniesionych z olbrzymich, niejednokrotnie kilkotonowych kamieni.

"Krajobraz wokół jeziora jest dosłownie usiany setkami ognisk, koncentrujących się przy kamiennych konstrukcjach, a w ich sąsiedztwie nie znaleźliśmy charakterystycznych dla pradziejowych osad, narzędzi czy pozostałości chat i obiektów gospodarczych. Uważamy, że zarówno ogniska jak i kamienne struktury były związane z odprawianiem w tych szczególnych miejscach bliżej nieokreślonych ceremonii, być może związanych z oczekiwaniem na życiodajny deszcz" - powiedział PAP kierownik badań terenowych, dr Przemysław Bobrowski z Instytutu Archeologii i Etnologii PAN w Poznaniu.

Część z nich - według kierownika badań - przypomina te znane już z pobliskiej Nabta Playa, jak skupiska kamiennych steli o

kształtach antropomorficznych czy wielkie tumulusy.

Sporym zaskoczeniem dla naukowców okazały się konstrukcje, które określają jako „skrzynie”. Wykonano je z dużych płyt piaskowca. Pradziejowi mieszkańcy tego rejonu wkuwali się w piaskowcowe podłoże, tworząc jamy. Pozyskany urobek wykorzystywano do konstrukcji dwuspadowego dachu nad jamą. Najczęściej wielkość tych obiektów wynosi ok. 2 na 0,8 m. W sumie badacze naliczyli kilkadziesiąt takich "skrzyń", położonych w rzędach w regularnych odstępach.

"Ich przeznaczenie nie jest dla nas jasne - mimo, że otworzyliśmy kilka z nich. We wnętrzu nie znaleźliśmy dotąd żadnych przedmiotów ani kości, który mogłyby świadczyć, że były to groby. W czasach, w których mogło powstać +pole skrzyń+ (być może ok. 5,5 a 4,5 lat temu) zmarłych chowano w jamach w pozycji skurczonej, dlatego skrzynie nie spełniłyby swojego zadania. Skłania nas to do poglądu, że mamy tutaj do czynienia z jeszcze inną ich funkcją, być może ceremonialno-kultową" - powiedział dr Bobrowski.

Wokół pola „skrzyń” archeolodzy zauważyli również pozostałości innych dużych struktur megalitycznych. „Odkrycia te wymagają jednak jeszcze dalszych badań interdyscyplinarnych, w tym z udziałem geologa i specjalistycznego sprzętu” – zastrzegł dr Bobrowski.

Wokół dawnego jeziora znajdują się też liczne kurhany z kamiennymi nasypami. W jednym z nich archeolodzy odkryli pochówek kilkuletniego dziecka.

Część tegorocznych znalezisk – w tym kamienne skrzynie czy struktury megalityczne - są unikatowym znaleziskiem w tym rejonie.

Kilka lat wcześniej badacze z CPE odkryli w rejonie Berget el-Szeb olbrzymią osadę, która funkcjonowała trochę wcześniej od centrum kultowego. Osada istniała w okresie wczesnego i środkowego neolitu, a konstrukcje megalityczne powstały w późnym i schyłkowym neolicie. Na pustyni archeolodzy znaleźli liczne, wskazujące na codzienne czynności pozostałości w postaci jam gospodarczych, ognisk, studni, przedmiotów codziennego użytku, w tym tysiące narzędzi wykonanych z różnych surowców kamiennych, żaren do mielenia zboża i fragmenty naczyń ceramicznych.

W ocenie badaczy wyniki ich tegorocznych prac wskazują, że neolityczni pasterze penetrowali i użytkowali znacznie większe obszary wokół paleojeziora, niż do tej pory sądzono.

"Odkryliśmy wiele nieznanych do tej pory reliktyw świadczących o intensywnej działalności człowieka w tym rejonie. Nie zdawaliśmy sobie sprawy ze skali i powtarzalności tego zjawiska na obecnej Pustyni Zachodniej" – podsumował dr Bobrowski.

Ludzie mogli żyć na terenie dzisiejszej Pustyni Zachodniej już co najmniej 10 tys.

lat temu. Badacze z CPE udowodnili, że w okolicach doliny Nilu udomowiono w tym czasie bydło - było to zatem znacznie wcześniej, niż na Bliskim Wschodzie.

Stopniowo klimat w tym rejonie stawał się coraz bardziej suchy. W poł. V tysiąclecia p.n.e. pradziejowi pasterze byli zmuszeni do migracji w kierunku Doliny Nilu. Naukowcy nie wykluczają, że mogło się to przyczynić do powstania cywilizacji farańskiej.

Tegoroczna ekspedycja badawcza na Pustyni Zachodniej, która skupiała się głównie na lokalizowaniu pozostałości po dawnej działalności człowieka na powierzchni oraz niewielkich badaniach wykopaliskowych, odbyła się w marcu. Badacze chcą wrócić do Berget el-Szeb jeszcze w tym roku.

PAP - Nauka w Polsce

Serwis Nauka w Polsce -  
[www.naukawpolsce.pap.pl](http://www.naukawpolsce.pap.pl)



## Bitwa pod Dubienką



18 maja 1792 roku na prośbę przywódców konfederacji targowickiej wojska rosyjskie przekroczyły granice Polski, rozpoczynając interwencję, której celem było zdławienie reform Konstytucji 3 maja. Rosja dysponowała około stutysięczną armią, której większość stanowili dobrze wyszkoleni weterani wojny z Turcją (1787–1792). Rzeczpospolita mogła jej przeciwstawić około 55 tysięcy żołnierzy. Po zdradzie księcia Ludwika Wirtemberskiego, który jako generał en chef armii Wielkiego Księstwa Litewskiego umyślnie utrzymał wojsko w rozproszeniu, i po klęsce generała Józefa Judyckiego w bitwie pod Mirem (11 czerwca) armia rosyjska z łatwością zajęła większość obszarów Litwy.

Zwycięstwo księcia Józefa Poniatowskiego w bitwie pod Zieleńcami 18 czerwca 1792 roku miało duże znaczenie propagandowe i moralne – król Stanisław August

Poniatowski ustanowił order Virtuti Militari, który 22 czerwca po raz pierwszy został wręczony bohaterom tej bitwy – ale nie powstrzymało ofensywy Rosjan. Po

wycofaniu się oddziałów polskich z kolejnych punktów oporu postanowiono bronić się na linii Bugu. Oddziały polskie zostały podzielone na trzy dywizje: Józefa Poniatowskiego, Tadeusza Kościuszki oraz Michała Wielhorskiego. Dywizja Kościuszki znalazła się niedaleko Dubienki, niewielkiego miasteczka, w okolicach którego przebiegała po I rozbiorze granica z Austrią.

17 lipca wojska rosyjskie pod dowództwem Michaiła Kachowskiego sforsowały Bug pod Dubienką, a następnego dnia rozpoczęły atak na fortyfikacje polowe zbudowane według planów Kościuszki. Polska piechota i artyleria odparła ten i następny atak, a napastnicy ponieśli dotkliwe straty. Wtedy Kachowski zdecydował się na manewr oskrzydłający przez terytorium austriackie. Dwa pułki strzelców konnych pod dowództwem pułkownika Palmenbacha przeszły przez las i uderzyły na tyły prawego skrzydła oddziałów polskich. Kościuszkowi tak zrelacjonował ten atak: *Na czele kawalerii Palmenbach, żołnierz odważny, który uderzył na baterię, był wraz zabity i z jego komendy mało co się powróciło. Piechota moskiewska trzy razy w jednym usuwała się miejscu.*

Pomimo śmierci Palembacha i ogromnych strat rosyjskich sytuacja Kościuszki stawała się coraz trudniejsza: przewaga liczebna Rosjan była wielka, a wycofanie się pułkownika Grochowskiego pod naporem wroga spod wsi Husynne doprowadziło do odcięcia jedynej drogi, którą mogły nadejść posiłki. Około godziny 20 podczas jednego z silniejszych szturmów uciekła z pola bitwy brygada

W.Sz.

Ilustracja: *Tadeusz Kościuszko jako generał lejtnant wojsk koronnych w czasie wojny polsko-rosyjskiej 1792, 1827*, autor: Marcin Jabłoński, [Wikipedia](#), Domena Publiczna.

kawalerii Pawła Biernackiego, która uprowadziła ze sobą Kościuszkę. Zdołał on jednak szybko wrócić do swojej dywizji. Po tym, jak Rosjanie rozpoczęli szturm na leżącą na lewym skrzydle wojsk polskich wieś Uchańkę, co groziło okrążeniem polskich oddziałów, Kościuszkowi wydał rozkaz do odwrotu w stronę Krasnegostawu.

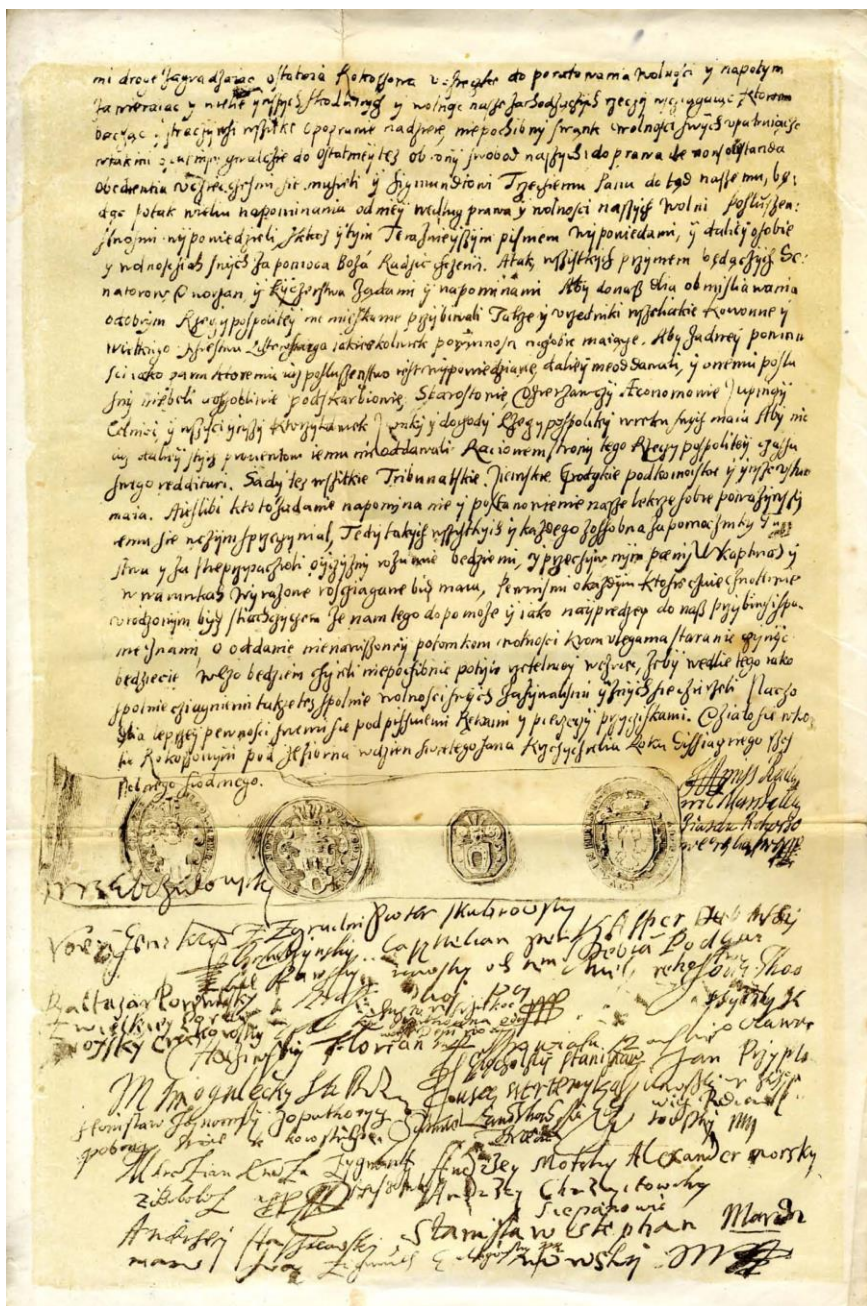
Bitwa, w której Polacy stracili około 900 żołnierzy, podczas gdy Rosjanie zginęło ponad 2000, przyniosła sławę Kościuszcze. Stanisław August nazwał go „naszym wyśmienitym Kościuszką” i awansował na generała-lejtnanta, powierzając mu dowództwo regimentu Buławy Polnej. W Paryżu Zgromadzenie Prawodawcze (Assemblée Legislative) nadało mu tytuł honorowego obywatela Francji.

24 lipca 1792 roku Straż Praw opowiedziała się większością głosów (także Hugona Kołłątaja) za przystąpieniem króla do konfederacji targowickiej. Stanisław August Poniatowski wydał rozkaz zaprzestania działań wojennych. Wojsko nie zdecydowało się na otwarty bunt, ale 200 oficerów (w tym książę Józef Poniatowski i Tadeusz Kościuszkowi) złożyło prośby o natychmiastową dymisję. Dwa dni później Poniatowski wygrał bitwę z oddziałami kozackimi pod Markuszowem. Ze względu na decyzję króla zwycięstwo to nie miało żadnego znaczenia politycznego i militarnego. Wojna z Rosją była przegrana, władzę w kraju przejęli targowiczanie, a król pruski Fryderyk Wilhelm II przyjął propozycję carycy Katarzyny II – wspólnego dokonania kolejnego rozbioru Polski.

# Bitwa pod Guzowem

24 czerwca 1607 roku w obozie pod Jeziorną szlachta, która wystąpiła przeciw Zygmuntowi III Wazie, wydała akt detronizacji króla. Cztery dni później Zygmunt III wezwał rokoszan do zapomnienia o podjętej uchwale i powrocie do należnego władcy posłuszeństwa. Próby rokowań między wrogimi stronami zakończyły się fiaskiem – buntownicy nie zgodzili się na spotkanie przywódcy rokoszu Mikołaja Zebrzydowskiego ze Stanisławem Żółkiewskim, z kolei Żółkiewski nie stawiał się na rozmowy z Januszem Radziwiłłem. Po otrzymaniu informacji, że król opuścił Warszawę i udał się do Krakowa, rokoszanie postanowili zwinąć swoje obozy i również wyruszyć w stronę Krakowa, wiedząc że w zaistniałej sytuacji opanowanie miasta, w którym odbywają się koronacje, może być kluczowe.

1 lipca wojska królewskie przekroczyły Pilicę, a dwa dni później oddziały buntowników zatrzymały się w okolicach Orońska. Kolejne próby podjęcia rozmów i wymiana listów nie przyniosły żadnych rezultatów. 3 lipca wojewoda podlaski Zbigniew Ossoliński i kanclerz litewski Lew Sapieha opuścili obóz rokoszan, nie chcąc brać udziału w wojnie domowej.



5 lipca wojska królewskie podzielone na trzy części (na lewym skrzydle hetman polny koronny Stanisław Żółkiewski, w centrum wojewoda ruski Stanisław Golski i pisarz polny koronny Jan Potocki, którzy dowodzili prywatnymi oddziałami zwolenników króla, na prawym skrzydle hetman wielki litewski Jan Karol Chodkiewicz) zajęły pozycje na wzgórzu nad podmokłą równiną, gdzie znajdowała się armia rokoszan, również podzielona na trzy części (pod dowództwem Piotra Łaszcza, Mikołaja Zebrzydowskiego, i Janusza Radziwiłła, w odwodzie znajdowały się ponadto oddziały Jana Szczęsnego Herburta). Współcześni określając miejsce spotkania obu armii mówili o bitwie pod Przytykiem, Orońskiem albo Guzowem. Pierwsze uderzyły oddziały królewskie.

W początkowej fazie bitwy jazda Radziwiłła rozbiła szyk wojsk Chodkiewicza i dotarła do miejsca, w którym znajdował się król. Została stamtąd odparta ogniem piechoty. W centrum walka była wyrównana, obie strony uznały się za pokonane i wycofały się z pola bitwy. O zwycięstwie wojsk królewskich zadecydowało uderzenie wojsk Żółkiewskiego na piechotę węgierską Herburta. Jego ucieczka tak została później skomentowana w anonimowym łacińskim epigramacie *Na Jana Szczęsnego Herburta uciekającego z pola bitwy*:

*Czemuż, groźny językiem, nie jesteś groźny prawicą?*

*Jeśli masz coś serca w sobie czy męstwa przodków,*

*Agamemnonie, wstrzymaj konia, nie uciekaj, wstrzymaj konia.*

(tłum. Juliusz Nowak-Dłużewski)

Uderzenie wojsk Potockiego spowodowało panikę w obozie rokoszan, a ich armia poszła w rozsypkę. Jan Karol Chodkiewicz relacjonował w liście do żony o około dwustu poległych, kilkuset jeńcach wziętych do niewoli (bez Zebrzydowskiego i Radziwiłła), o zdobytych 13 chorągwiach i działach *nieprzyjacielskich, jeśli ich tak, niebożąt, nazwać*.

Współczesny wydarzeniom Stanisław Łubieński pisał o znalezieniu w obozie rokoszan listów księcia siedmiogrodzkiego Gabriela Batorego do Jana Szczęsnego Herburta. Klęska w bitwie pod Guzowem ostatecznie pogrzebała nadzieje buntowników na militarne i polityczne zwycięstwo w starciu z Zygmuntem III. Pozostało im tylko wyrazić swój żal w licznych utworach wierszowanych, w których przeciwnicy króla, polegli w bitwie pod Guzowem, przedstawiani byli jako obrońcy wolności:

*Tu leżą zacne ciała rycerstwa polskiego,*

*Pochowane w tym prochu do dnia ostatniego.*

*Gardła swe położyli dla drogich wolności,*

*Krew ich drogą rozlano w surowej srogości.*

*Ojczyznę miłowali jako cni synowie,  
Samsiedzi ich pobili, brzydcy wyrodkowie.  
Legliście, cni rycerze, moja szlachto droga,  
Pożarła was złych ręka Kaimowa sroga;  
Nieszczерze z wami poszli bracia nieżyczliwi,  
Na waszą śmierć czyhali jak lwi popędliwi.  
Mielście z nie dość mocy, gdy się wam modlili  
O zwłokę do ugody, zdradą was pobili.  
Legliście dla wolności, garła położyli  
Dla ojczyzny, samsiedzi was z świata zgładzili.*

*Nagrobek pobitego o wolność rycerstwa polskiego pod Guzowem [fragment]*

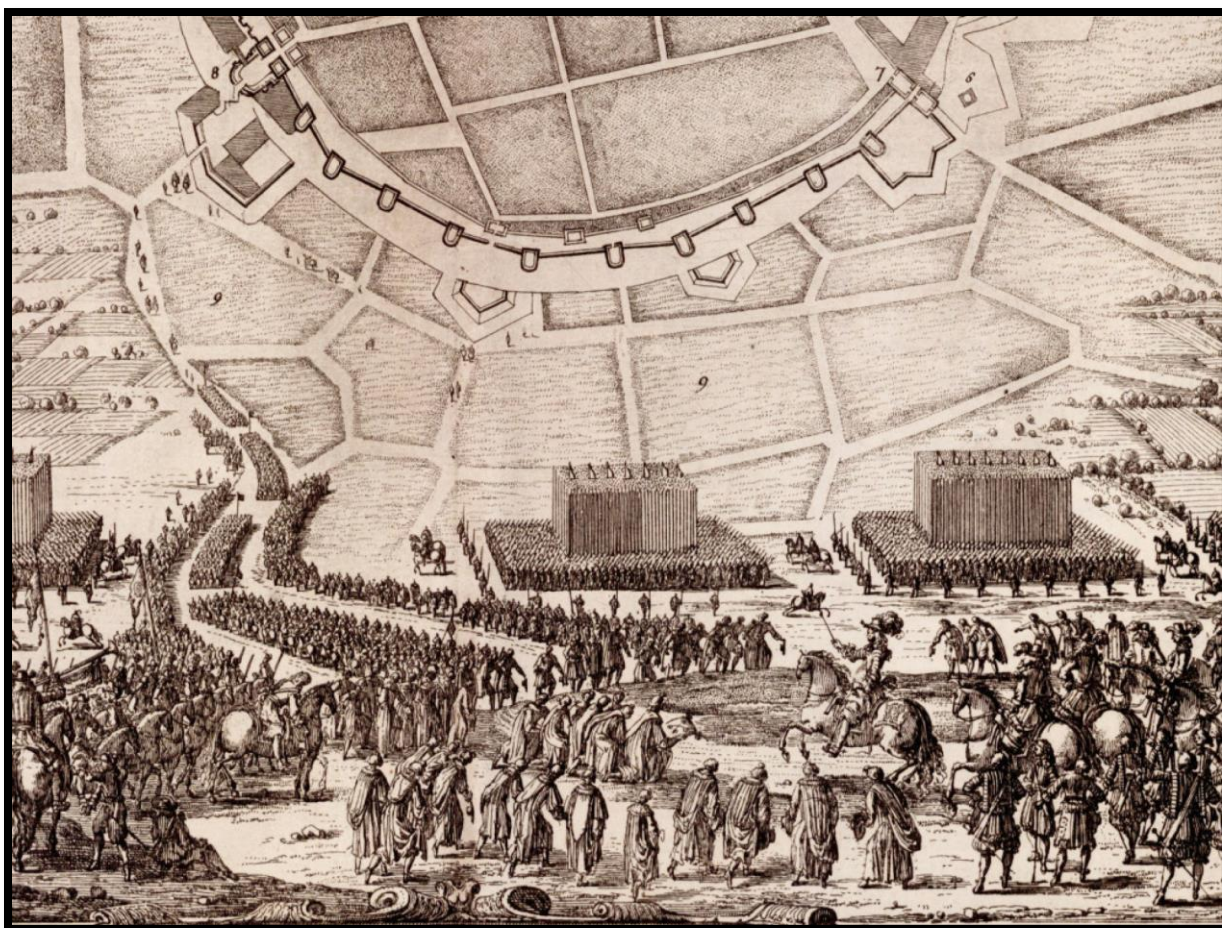
W.Sz.

Ilustracja: *Akt detronizacji Zygmunta III wydany przez rokoszan 24 czerwca 1607 w obozie pod Jeziorną*, [Wikipedia](#), Domena Publiczna.

*Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski*



## Bitwa warszawska 1656 roku



W rezultacie ataku wojsk szwedzkich, który rozpoczął się w lipcu 1655, dość niespodziewanie dla wszystkich Rzeczpospolita doznała druzgocącej klęski. Kolejne oddziały i województwa Korony Polskiej poddawały się Szwedom bez większego oporu, podczas gdy Wielkie Księstwo Litewskie okupowali Rosjanie. Szybko jednak okazało się, że Szwedzi nie są w stanie kontrolować tak wielkiego terytorium. W 1656 losy wojny się odwróciły. Wypadek króla szwedzkiego Karola X Gustawa na Lwów - ostatnie duże miasto w posiadaniu Polaków - skończył się niepowodzeniem. 1 lipca 1656 polski monarcha Jan Kazimierz po krwawym oblężeniu odzyskał Warszawę.

Pragnąc odzyskać przewagę, Szwedzi już w czerwcu zawarli sojusz z Fryderykiem

Wilhelmem, władcą Brandenburgii i Prus Książęcych, lennikiem Korony Polskiej. Realizując plan przyjęty 19 lipca,

skoncentrowane siły szwedzko-brandenburskie ruszyły na Warszawę z zamiarem jej odbicia i pokonania głównych sił polsko-litewskich. Szwedzi liczyli na to, że Jan Kazimierz będzie skłonny stoczyć z nimi walną bitwę, w której nowoczesne i doświadczone szwedzkie regimenty miałyby przewagę.

W dniach poprzedzających bitwę celem Jana Kazimierza było zlikwidowanie dwóch obozów szwedzkich w okolicach Modlina, które strzegły przepraw przez Wisłę i Narew oraz dawały możliwość szybkiej przeprawy Szwedom. Polacy zbudowali zatem most na północ od Warszawy i przeprawili się na brzeg praski z zamiarem marszu na północ. Karol Gustaw zamierzał natomiast pobić wojska Rzeczypospolitej dwoma uderzeniami. Liczył na to, że po szybkiej przeprawie na południe przez Narew zostanie na Pradze tylko siły litewskie, stacjonujące tam od oblężenia Warszawy. Po ich pokonaniu zamierzał wycofać się do Modlina i uderzyć po zachodniej stronie Wisły na polskie oddziały w Warszawie.

W ten sposób 28 lipca doszło do spotkania obu armii na nadwiślańskich łąkach na północ od Pragi. Po stronie szwedzko-brandenburskiej do boju stanęło ok. 18 tys. ludzi, w tym ok. 6 tys. piechoty i 47 dział, zaś Rzeczpospolita dysponowała 34-40 tys. żołnierzy, w tym 3,5 tys. piechoty i 18 działami, z tym że większość oddziałów sformowano dopiero w 1656 i nie miały one wiele doświadczenia. Teren bitwy, ograniczony z jednej strony Wisłą, z drugiej - pasem wydm i bagnami, nie sprzyjał wykorzystaniu kawalerii, licznej po obydwu stronach. Jan Kazimierz zajął pozycje obronne licząc na to, że Szwedzi wykrwawią się przed umocnieniami piechoty, a potem będzie można ich znieść szarżą kawalerii. Karol Gustaw początkowo liczył na doświadczenie i siłę ognia swoich oddziałów i planował zwyciężyć siły polsko-litewskie we frontalnym natarciu. Niewielka szerokość

poła bitwy - około kilometra - niwelowała przewagę liczebną.

Pierwszy dzień bitwy, 28 lipca 1656, przebiegł po myśli Jana Kazimierza - oddziały szwedzkie i brandenburskie bezskutecznie atakowały okopane stanowiska polskiej piechoty i artylerii, po czym były odrzucane atakami kawalerii. Ta ostatnia nie była jednak w stanie wyrządzić dużych szkód przeciwnikom. Ponieważ bitwa rozpoczęła się około 17, walki zakończono po dwóch-trzech godzinach.



Rankiem dnia następnego Karol Gustaw doszedł do wniosku, że próby pobicia armii polsko-litewskiej atakiem frontalnym są skazane na porażkę. Zdecydował się zatem na ryzykowny manewr - pod osłoną paru szwadronów rajtarii szwedzkiej, pozorujących działania ofensywne, przerzucił oddziały najpierw brandenburskie, a potem szwedzkie na wschód od pasa wydm, na pola przed osadą Bródno. Tym samym zaszedł Jana Kazimierza z flanki. Polski monarcha został zupełnie zaskoczony, a zmiana frontu o 90 stopni zajęła mu dużo czasu, przez co nie wykorzystał nadarzającej się okazji do uderzenia na przemieszczających się w trudnym terenie Szwedów. Dopiero około 15 wojsko polsko-litewskie odzyskało zdolność działania. Wtedy Jan Kazimierz polecił wydzielić ze wszystkich pułków chorągwie husarskie i tymi siłami

zaatakować lewe, szwedzkie skrzydło wroga. Szarży tej przewodził Aleksander Hilary Połubiński, pisarz litewski. Musiała to być jedna z najwspanialszych szarży jazdy polskiej. Około tysiąca husarzy runęło ze wzniesienia na szwedzką rajtarię ustawioną w trzech liniach.

Rajtarzy Karola Gustawa byli uzbrojeni głównie w pałasze i ciężkie pistolety. Ruszali na przeciwnika galopem, strzelali z bliskiej odległości i przechodzili do walki wręcz - tej agresywnej taktyki nauczyli się od Polaków pod Kircholmem. Nie mogli się jednak równać z husarią w bezpośrednim starciu. Szwadrony rajtarii stojące bezpośrednio na drodze husarii zostały kompletnie rozbite. Szwedzi jednak wiedzieli już, jak walczyć z polską jazdą. Za pierwszą linią rajtarii czekała następna i chorągwie Połubińskiego musiały przyjąć kolejną salwę z pistoletów. Ucierpiały też od ognia prowadzonego z flanki przez nieatakowane bezpośrednio oddziały rajtarii, a może też i piechoty. Szarża utknęła na drugiej linii rajtarów szwedzkich i husaria musiała uciekać na pozycje wyjściowe. Gdyby Połubiński został wsparty przez pozostałą kawalerię, być może udało by się przełamać obronę

LW

armii szwedzko-brandenburskiej. Niestety, niezdiscyplinowane chorągwie kozackie i lekkiej jazdy nie przysły w sukurs husarii - większość towarzystwa była akurat na obiedzie.

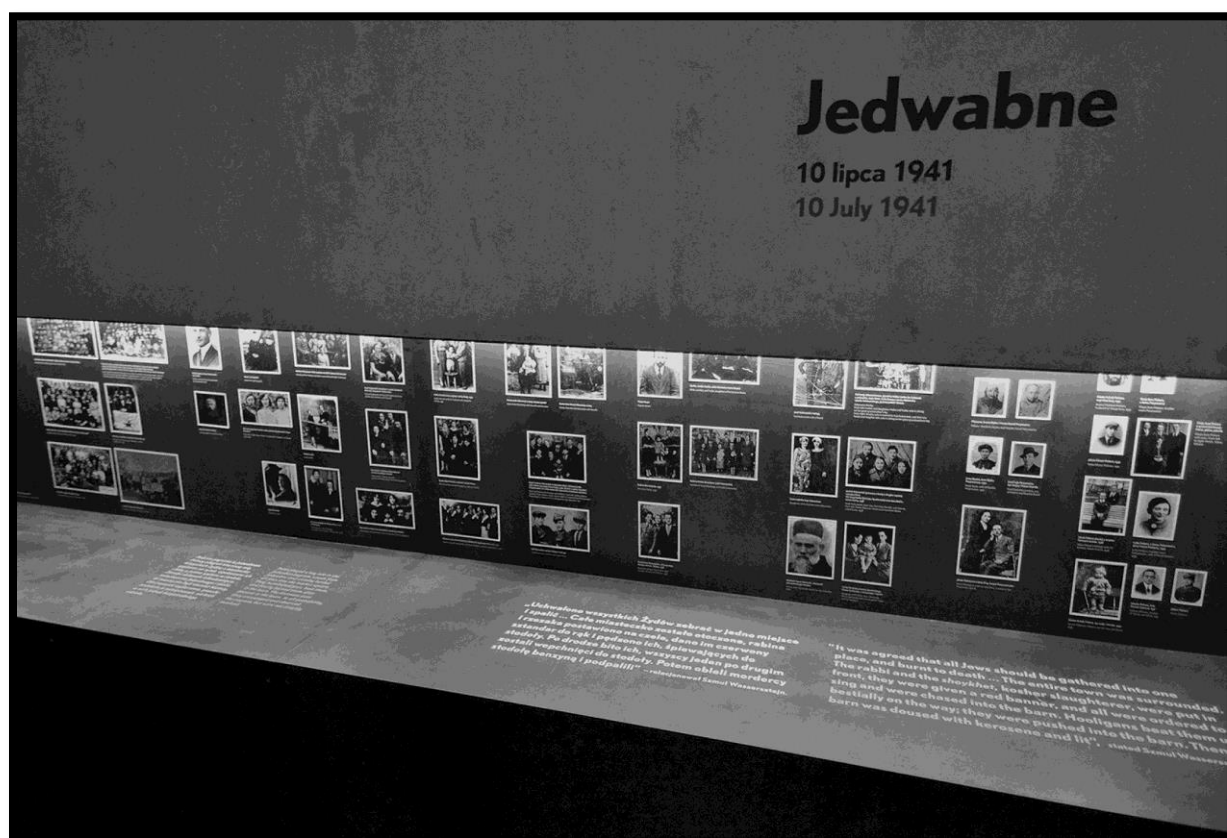
Po tej porażce armia polsko-litewska straciła ducha. Podjęto jeszcze jedną próbę szarży chorągwi pancernych na skrzydło pruskie, ale Polacy ostrzelali tylko przeciwników, po czym wycofali się na pozycje wyjściowe.

Trzeciego dnia Jan Kazimierz usiłował już tylko ewakuować swoje wojska z niebezpiecznego położenia - armia szwedzka od frontu, a za plecami Wisła. Dzięki nadmiernej ostrożności Karola Gustawa, który obawiał się kolejnych szarż kawaleryjskich, udało się uratować większość oddziałów. Trzeciego dnia nie doszło do żadnych znaczniejszych starć. Największą porażką była utrata Warszawy - król nawet nie próbował jej bronić. Ostatecznie przegrana bitwa warszawska, stoczona od 28 do 30 lipca 1656 r., tylko opóźniła wyzwolenie kraju spod okupacji szwedzkiej. Jej wynik był jednak niepokojącym sygnałem, że wojsko Rzeczypospolitej wymaga reform.

1. Rycina przedstawiająca bitwę warszawską 1656 roku. W tle widoczny plan Warszawy (Starego Miasta) z obrysem fortyfikacji. Rys. Erik Dahlberg. [w:] Samuel Pufendorf, De rebus a Carolo Gustavo Sveciae rege gestis, domena publiczna.
2. Johan Filip Lemke (1631–1711) – Bitwa warszawska, domena publiczna

*Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski*

## Pogrom Żydów w Jedwabnem



Z dr. Krzyszofem Persakiem z Instytutu Pamięci Narodowej i Instytutu Studiów Politycznych PAN rozmawia Tomasz Wiślicki o pogromie Żydów w Jedwabnem.

### Co wydarzyło się w Jedwabnem?

W Jedwabnem – miejscowości w powiecie łomżyńskim – 10 lipca 1941 roku doszło do straszhwej zbrodni, o której możemy powiedzieć, że miała cechy ludobójstwa. Tego dnia żydowscy mieszkańcy miasteczka zostali zgromadzeni na rynku,

przez wiele godzin przetrzymywani, bici, upokarzani, a potem zapędzeni do drewnianej stodoły na obrzeżach miejscowości i tam spaleni żywcem. Bezpośrednimi sprawcami tej zbrodni byli Polacy – z Jedwabnego, ale także mieszkańcy okolicznych wsi. Jak wynika z relacji świadków, już od rana zjeżdżali oni furmankami, najwyraźniej wiedząc, co się szykuje, zapewne z nadzieją na udział w rabunku mienia ofiar.

Istotna jest też obecność Niemców. Nie byli oni zbyt liczni. W Jedwabnem istniał niewielki posterunek niemieckiej Żandarmerii Polowej. Prawdopodobnie

tego dnia lub w przeddzień mordu była też w Jedwabnem grupa funkcjonariuszy niemieckiej Policji Bezpieczeństwa bądź Służby Bezpieczeństwa. To specjalne komando na pewno pojawiło się w Jedwabnem przed zbrodnią. Podczas narady z tymczasowymi władzami miasteczka – burmistrzem i radnymi miejskimi – pojawił się pomysł, żeby miejscowych Żydów spalić. Zapewne zasugerowali to Niemcy, choć nie mamy co do tego pewności. Według relacji, ta odprawa odbyła się przed dniem zbrodni. Przyjazd chłopów z okolicznych wsi też potwierdza, że decyzje zapadły wcześniej. Nie jesteśmy pewni, czy ci Niemcy pojawili się w Jedwabnem także w dniu zbrodni.

Wszystko to dzieje się dwa tygodnie po zajęciu tych terenów przez wojska niemieckie. Jedwabne zostało zajęte przez wojska niemieckie po trzech dniach wojny. Był to więc okres szczególny – pierwszych tygodni niemieckiej okupacji na tym terenie. Niemcy zostali przywitani jak wyzwoliciele – po prawie dwóch latach okrutnej okupacji sowieckiej. Nie zastanawiano się raczej nad tym, jak będzie wyglądała okupacja niemiecka – była to reakcja na wyparcie poprzedniego okupanta.

W tym pierwszym okresie dla utrzymania kontroli nad terenem w dużej mierze polegali na pomocy miejscowej ludności. W Jedwabnem, jak i w innych miasteczkach po wyparciu Sowietów, powstaje samozwańcza polska władza lokalna.

**Skąd ona się bierze? Ujawniają się naturalni przywódcy lokalnej społeczności?**

O tych ludziach wiemy niewiele. Burmistrzem, którego Niemcy nie ustanowili, bo nie mieli na to czasu, ale raczej zatwierdzili, został Marian Karolak, szwagier przedwojennego burmistrza. Inni

dwaj ludzie byli jego zastępcami. Ta władza była uznawana przez lokalną społeczność, choć niekoniecznie byli to ludzie wysokiej konduity.

Niemcy dopuścili też do powstawania ochotniczych straży porządkowych, swego rodzaju samozwańczych milicji, którym nawet dali prawo do noszenia broni.. Do tych straży wstępują ludzie z antysowieckiej konspiracji, która zresztą została tam rozbita dosyć skutecznie przez Sowietów.

**Czy taka straż istniała w Jedwabnem?**

Pewne poszlaki na to wskazują. Przypadek sprawił, że o zbrodni w Jedwabnem dowiedzieliśmy się jako o pierwszej. Później w wyniku badań prowadzonych z inicjatywy IPN dowiedzieliśmy się, że na tym terenie wystąpien antyżydowskich było więcej – ponad dwadzieścia a może więcej, w tym kilka takich, w których zginęło po kilkaset osób. Wiedząc o innych zbrodniach, możemy też powiedzieć więcej o Jedwabnem – na zasadzie analogii. Na przykład znacznie więcej wiadomo o przebiegu wydarzeń w Radziłowie. Tam scenariusz mordu był bardzo podobny. Kilkuosobowe komando Policji Bezpieczeństwa zasugerowało spalenie Żydów i rabunek ich dobytku. Wiemy, że była tam taka uzbrojona straż. Możemy przypuszczać, że w Jedwabnem też istniała taka formacja.

**I brała udział w zbrodni?**

Tak. Ci ludzie byli motorem tego, co się wydarzyło. W Jedwabnem główną rolę odgrywa burmistrz i jego zastępcy. Są tam też niemieccy żandarmi, ale raczej w tle. Wprawdzie są relacje mówiące, że żandarmi zmuszali Polaków do wyganiania Żydów z domów, ale to są moim zdaniem wykrety. Wskazuje na to dokładna analiza akt procesów sprawców, których tłumaczenia są często wewnętrznie sprzeczne. Ludzie ci byli tam z własnej



foto: Jacques Lahitte: Wikimedia Commons: CC BY-SA 3.0 PL

woli, powodowani – jak sędzę – różnymi przyziemnymi przesłankami, a już na pewno nikt nie zmuszał do przyjeżdżania do Jedwabnego chłopów z sąsiednich wsi.

Według niektórych relacji, których nie potrafimy w pełni zweryfikować, Żydów wyganiano na rynek przez trzy kolejne dni i zmuszano ich do różnych upokarzających prac. Jeśli tak rzeczywiście było, to byłoby zrozumiałe, dlaczego trzeciego dnia tak łatwo wpadają w pułapkę. W tym upokarzaniu zgromadzonych na rynku Żydów pojawia się element antysowiecki, który chyba jest importem niemieckim. Kazano mianowicie Żydom śpiewać „Przez nas wojna”, co było elementem niemieckiej propagandy, że wojnie są winni Żydzi.

Grupę młodych Żydów zmuszono do zburzenia pomnika Lenina i obnoszenia jego szczątków wokół rynku w szyderczej procesji. Potem tych ludzi wyprowadzono za miasto do tej stodoły, wymordowano, a ciała wrzucono do wykopanego grobu wraz ze szczątkami pomnika Lenina.

### **Czy to byli jacyś aktywiści sowieccy?**

Nie. Na czele tej procesji postawiono rabina i rzezaka, czyli przywódców społeczności. Widać więc w tym stereotyp żydokomuny. Być może sprawcy mieli także ten cel, żeby pozbawić życia najpierw najsilniejszych i najmłodszych. Ten grób wewnątrz stodoły został odnaleziony podczas prac ekshumacyjnych – było w nim prawdopodobnie około czterdziestu ciał. I wreszcie pod wieczór reszta Żydów została zapędzona do

stodoły. Nawiasem mówiąc, podobno dość długo trwały poszukiwania „nadającej się” stodoły, co pokazuje premedytację sprawców.

### **Na jakiej podstawie możemy uznać, że mordercami byli Polacy, a nie Niemcy?**

Wygląda na to, że Niemcy raczej stali na uboczu, przyglądali się, dopilnowywali, ale nie angażowali się bezpośrednio. Nie ma żadnego świadectwa, które by opisywało sytuację, że 10 lipca ktokolwiek zginął bezpośrednio z rąk Niemców. Nikt nie mówił, że ktoś użył broni palnej, strzelał albo choćby słyszał wystrzały. A przecież gdyby tak było, ktoś powinien się na to powołać choćby dla obrony – a tymczasem nie ma ani jednej podobnej wzmianki w aktach procesu sprawców.

W wyniku prac archeologicznych w ramach śledztwa prowadzonego przez IPN w pobliżu grobów znaleziono łuski z broni palnej, co było argumentem chętnie podnoszonym przez tych, którzy twierdzili, że jedynymi bezpośrednimi sprawcami zbrodni byli Niemcy. Jednak właśnie tam przebiegały niemieckie okopy z 1944 roku. W styczniu 1945 te okolice zostały zajęte przez Sowieców i te łuski pochodzą właśnie z tego okresu. Potwierdza to ich badanie.

O przebiegu samego mordowania wiemy najmniej. Wszyscy świadkowie i oskarżeni bardzo niechętnie wypowiadali się o ostatniej fazie zbrodni.

**Najbardziej**

**obciążającej...**

Oczywiście. Jednak to, że nikt nie wspomina o obecności Niemców pod stodolą, pośrednio wskazuje na odpowiedzialność Polaków. Jestem przekonany – i takie są zresztą konkluzje śledztwa IPN – że bezpośrednimi sprawcami byli miejscowi Polacy. Oczywiście stopień zaangażowania poszczególnych osób jest różny. Oprócz masowego mordu było też wiele indywidualnych zabójstw. Grupa sprawców jest duża – tych, którzy w różnym stopniu wzięli udział w zbrodni. We wszystkich zeznaniach ze śledztwa i procesu doliczyłem się stu kilkunastu nazwisk. Oczywiście, mogą być tu jakieś pomyłki, ale rząd wielkości jest właśnie taki. Grupa ludzi, którzy w jakimś stopniu w tej zbrodni wzięła udział, liczyła zapewne od stu do dwustu osób.

#### **Jak się ma liczba osób zaangażowanych w mord do liczby polskich mieszkańców Jedwabnego?**

Przed wojną Jedwabne liczyło około 2.500-2.700 mieszkańców. Sporne są proporcje Polaków i Żydów. Najprawdopodobniej było 40 proc. Żydów i 60 proc. Polaków, to jest około 1100 Żydów i 1500-1600 Polaków.

Uwzględniając to, że w zbrodni uczestniczyli bezpośrednio tylko mężczyźni, których była mniej więcej połowa tej liczby, a ściślej – dorośli mężczyźni, których było jeszcze mniej, tych stu kilkudziesięciu sprawców stanowi znaczący procent.

Oczywiście, choć trzeba pamiętać, że wśród nich są ludzie z sąsiednich wsi. Nie chcę użyć uogólnienia, że połowa miasta zabiła drugą połowę. To byłoby niesprawiedliwe, bo byli ludzie, którzy na pewno nie chcieli w tym uczestniczyć. Jednak prócz tych, którzy wzięli udział w mordowaniu, byli też tacy, którzy uczestniczyli w rabunku, co też jest fragmentem zbrodni w Jedwabnem. Można

więc powiedzieć, że była w nią w jakiś sposób zamieszana znacząca część polskiej społeczności miasteczka. Choć aktywistów, którzy mordowali, było zapewne kilkudziesięciu, tych, którzy na zbrodni skorzystali, było znacznie więcej. Trudno to wszystko rozdzielić, bo byli jeszcze ludzie, którzy nawet fizycznie nie dokonywali żadnej agresji, ale wystarczy, że tam stali, tworzyli tłum. Nie wiemy, na ile oni osobiście byli wrodozy wobec Żydów – może byli tylko gapiami, ale z punktu widzenia ofiar stanowili mur, który uniemożliwiał lub co najmniej utrudniał ucieczkę.

#### **A jaka była liczba ofiar?**

Można powiedzieć tylko tyle, że było ich kilkaset. Intuicyjnie powiedziałbym, że było ich około 500, ale mogło być ich 400 ofiar, mogło też być 700-800.

Nie wiemy, ilu było Żydów w tym czasie w mieście. Wiemy też, że w Jedwabnem byli uchodźcy z innych miejscowości, także z Radziłowa, gdzie do zbrodni doszło trzy dni wcześniej – 7 lipca. Wiadomo, że byli tam ludzie z Wizny, pozbawieni dachu nad głową w wyniku walk frontowych. Wiemy też, że pewna liczba ofiar zdołała uciec – sto kilkadziesiąt, może dwieście.

Prokurator Radosław Ignatiew, który prowadził śledztwo IPN, w postanowieniu o jego zakończeniu stwierdził, że ofiar było nie mniej niż 340: około 40 w mniejszym grobie i nie mniej niż 300 w większym. Tak oszacował liczbę szczątków prof. Andrzej Kola, zresztą wybitny fachowiec. Problem polega na tym, że wobec nieprzeprowadzenia pełnej ekshumacji dane wyjściowe do tych szacunków są mało precyzyjne – mamy przecież do czynienia ze spalonymi szczątkami, od niemowląt do starców.

#### **Skąd wiemy o tym wszystkim, co zdarzyło się w Jedwabnem 10 lipca 1940 roku?**

Głównym źródłem wiedzy o zbrodni jest relacja Szmula Wasersztejn, Żyda z Jedwabnego, oraz akta powojennych procesów sprawców. Wasersztejn zapewne nie wszystko widział na własne oczy, ale potem się ukrywał z grupą Żydów z Jedwabnego, i myślę, że wielokrotnie sobie tę historię opowiadali. W związku z tym miał wiedzę pochodzącą z relacji innych osób, którą starał się przekazać, także informacje o sprawcach. W swojej relacji wymienia kilkunastu sprawców. On potem do końca życia żył z poczuciem, że tę prawdę musi przekazać jako świadek, jeden z nielicznych, którzy przeżyli. Oczywiście, ta relacja może zawierać nieścisłości – jak każda, ale istotna jest intencja dania świadectwa. Rzetelność tej relacji budziła pewne wątpliwości niektórych, tymczasem okazała się ona dość akurtna. Odnalezienie grobu wewnątrz stodoły potwierdzało jej prawdziwość.

W ramach śledztwa prowadzonego przez IPN nie doszło do pełnej ekshumacji ofiar, ale nawet to, co zrobiono, pozwala potwierdzić to, co wiemy ze źródeł

pisanych. Odkryto zarys tej stodoły, jej podmurówkę. Wewnątrz odkryto grób tej pierwszej grupy, a poza obrębem fundamentów – drugi, masowy, do którego zepchnięto spalone szczątki pozostałych ofiar. Szczątki nie mogły być poruszone, co jest związane z zasadami religii żydowskiej. Jako historyk oczywiście bardzo żałuję, że nie odbyła się pełna ekshumacja, bo dzięki niej dowiedzielibyśmy się znacznie więcej, natomiast rozumiem, że nie można było jej zrobić. Konieczne było uwzględnienie wrażliwości żydowskiej. Decyzję podjął ówczesny minister sprawiedliwości i prokurator generalny Lech Kaczyński.

**Nie można nie zapytać, co powodowało ludźmi, którzy w zbrodni brali udział. Sama sugestia ze strony Niemców nie tłumaczy, dlaczego spalono żywcem kilkaset osób.**

To jest bardzo złożone. Niewątpliwie bardzo istotne było podglebie nastrojów antysemitycznych w tych stronach. To jest teren tradycyjnie endecki, jeden z mateczników Narodowej Demokracji. W miarę ewolucji Narodowej Demokracji w kierunku bardzo mocno antysemitycznym narastały takie nastroje. Pewną rolę odgrywał też skład społeczny ludności. To są tereny zamieszkałe przez szlachtę zagrodową, bardziej chłonną na idee narodowe, a antysemityzm się także z tym łączył. To podglebie antysemityczne jest bardzo istotnym czynnikiem, który – choć oczywiście sam nie wystarcza – stanowił warunek konieczny.



foto: Fotonews; Wikimedia Commons; CC BY-SA 3.0

Była też chęć wzbogacenia się. Była wreszcie reakcja na okupację sowiecką, co się wiąże ze stereotypem żydokomuny. Istniał stereotyp – który miał potwierdzenie w pewnych faktach – poparcia Żydów dla okupacji sowieckiej. Mniejszości w II Rzeczypospolitej na tej okupacji rzeczywiście skorzystały. Przed wojną Polacy byli na tym terenie dominującą mniejszością – za Sowietów to się odwróciło: Polacy byli dyskryminowani. Dla Polaków to nagłe odwrócenie ról stanowiło szok. Istniał odruch rewanżu za okupację sowiecką, natomiast czynnik antysemitki sprawił, że ten odruch skierował się przeciwko Żydom. Zresztą w Łomżyńskim innych mniejszości narodowych nie było.

Fala wystąpień antyżydowskich bezpośrednio po wejściu wojsk niemieckich przetoczyła się wzdłuż całego frontu wschodniego, od Łotwy po Besarabię. Zarówno ze względu na sugestie Niemców, jak i z powodu istnienia podglebia antysemityzmu, odruch zemsty skierował się przeciwko grupie tradycyjnych kozłów ofiarnych na tej szerokości geograficznej, czyli Żydów.

W Jedwabnem dzień po wkroczeniu Niemców tłum na rynku pobił trzech sowieckich aktywistów narodowości polskiej i trzech – żydowskiej. Zostali oni pobici na śmierć lub też dobili ich Niemcy.

Ten odruch zemsty na ludziach, którzy ponosili rzeczywistą odpowiedzialność, nie jest z pewnością godny pochwały, ale jest zrozumiały. Ale dwa tygodnie później pojawia się agresja wobec całej ludności żydowskiej, wśród której oczywiście było mnóstwo osób niewinnych, a także ofiar agresji sowieckiej.

Żydzi z oczywistych względów woleli dostać się pod okupację sowiecką niż niemiecką. Wiedzieli, że od Niemców mogą się spodziewać wszystkiego

najgorszego, a co do Sowietów istniały pewne nadzieje związane z propagandą internacjonalizmu, równouprawnienia mniejszości. Wielu Żydów było potem bardzo rozczarowanych. Natomiast w pierwszych dniach niemieckiej okupacji narastała atmosfera agresji wobec Żydów, ewidentnie podsycana przez Niemców.

**Co więc się stało przez te dwa tygodnie, że zaczęło się od zemsty na rzeczywistych kolaborantach – Żydach i Polakach – a skończyło na masakrze wszystkich Żydów?**

Nie potrafimy w pełni odpowiedzieć na to pytanie. Wiadomo, że narastała spirala agresji, na którą Niemcy przyzwalali i ją podsycali. Oni też do zbrodni inspirowali. Gdyby nie oni, z całą pewnością do nich by nie doszło. Wiemy, że w pierwszych dniach wojny szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy Reinhard Heydrich rozkazał, by nie przeciwstawiać się tendencjom do – jak to eufemistycznie nazwał – samooczyszczania ze strony kręgów antykomunistycznych, antysowieckich i antyżydowskich. Przeciwnie: należy te tendencje podsycać, kierować na właściwe tory, nie pozostawiając śladów, ale także nie zaciągając żadnych zobowiązań. Ten rozkaz został jednak wydany po otrzymaniu przez władze niemieckie raportów o silnych nastrojach rewanżu i agresji, z pytaniem, jak na to reagować.

Na tym terenie pogromy antyżydowskie były już przed wojną, ale wtedy nie było zbrodni o takiej skali.

**Jak doszło do pokonania dystansu dzielącego niechęć do Żydów, wyrażającą się w słowie czy nawet w przemoc, ale w ograniczonej skali – do wymordowania wszystkich, łącznie z niemowlętami i starcami? Wydaje się, że ten dystans jest ogromny...**

Czy rzeczywiście od niechęci i agresji

werbalnej do zbrodni jest tak daleko? A może to tylko krok? To, co się wydarzyło w całym pasie od Bałtyku po Morze Czarne, każe nam się zastanowić nad naturą ludzką, nad tym, jak silne są hamulce moralne, jaką rolę pełni władza i prawo. Kiedy upadają struktury państwowe, wymuszające przestrzeganie zasad – znikają hamulce i takie rzeczy stają się możliwe.

Wiadomo też, że wojna znosi obowiązywanie wielu zasad. Można wypędzać ludzi z domów, bezkarnie niszczyć własność czy dobra kultury, bo ważniejsze jest, żeby własne oddziały się posunęły o pół kilometra. W czasie wojny „wszystko wolno” i to jest akceptowane. Między innymi dlatego wojna jest złem samym w sobie.

### **Prawda o zbrodni w Jedwabnem dotarła do naszej świadomości z olbrzymim opóźnieniem i wywołała ogromną dyskusję...**

Mord w Jedwabnem, podobnie jak cała fala pogromów z lata 1941 roku, nie funkcjonowały w ogóle nie tylko w świadomości społecznej, ale także wśród historyków. W praktyce sprawa Jedwabnego była zupełnie nieznana. Jan Tomasz Gross natrafił na relację Szmula Wasersztejna, która opowiada o czymś, co się nie mieści w głowie. Sam Gross mówi, że minęło dużo czasu, zanim zrozumiał, że tę relację trzeba traktować dosłownie. Dopiero książka Grossa *Sąsiedzi*, opublikowana w maju 2000 roku poruszyła tę sprawę.

Książka Grossa trafiła na nieprzygotowany grunt, nie można się więc dziwić, że pojawił się naturalny szok niedowierzania i

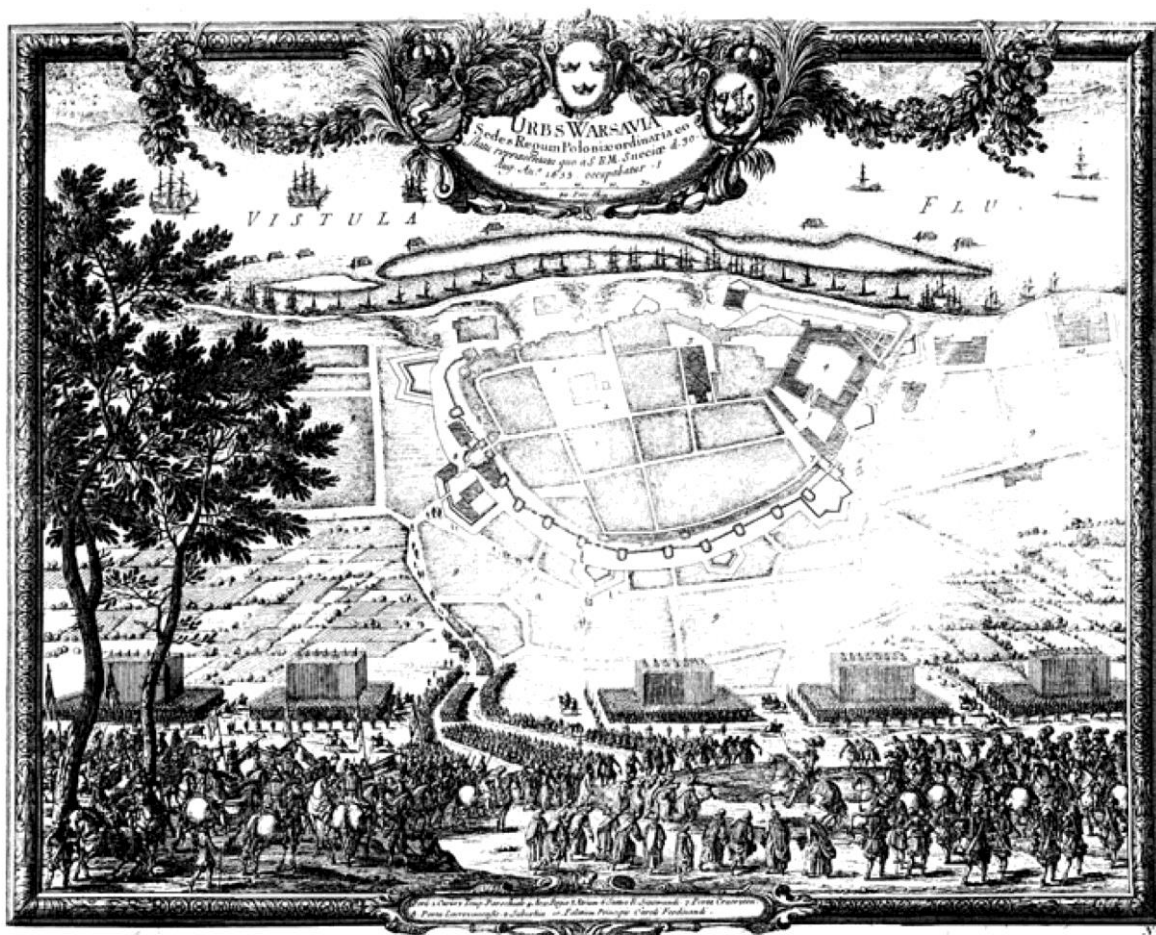
chęć weryfikacji jego ustaleń. Była to największa, najpoważniejsza, najgłębsza debata o historii najnowszej przynajmniej po 1989 roku. Myślę, że generalnie była ona doświadczeniem budującym. Toczył się spór historyczny o fakty. Ale była też debata na poziomie moralnym – dotycząca tego, że musimy spojrzeć na własną historię inaczej, przewartościować ją.

Książka Grossa ma dwie warstwy. Jedna to część faktograficzna i w gruncie rzeczy ta rekonstrukcja Grossa została potwierdzona w wyniku zarówno badań naukowych, jak i śledztwa. Oczywiście, konieczne są pewne korekty dotyczące szczegółów, a także uzupełnienia. Ale sama rekonstrukcja wydarzeń jest w zasadzie prawidłowa.

Jest też druga część tej pracy – interpretacyjna. Dla mnie w tej części ogólnej ważne jest wezwanie Grossa do nowych badań historycznych na tematy, które nie były dotąd poruszane. Gross słusznie pisze, że sprawa stosunków polsko-żydowskich obciąża biografię zbiorową Polaków: nie skonfrontowaliśmy się z tym w wystarczającym stopniu i jeżeli tego nie zrobimy, to cały czas będziemy się ze strachem i obawą oglądać za siebie, że jest coś, co nas obciąża. Mnie się to wydaje ważne i prawdziwe.

Ta książka była pewnym przełomem. Terapia szokowa Grossa sprawiła, że prawda o Jedwabnem została przyjęta i łatwiej jest mówić o innych sprawach, które aż tak drastyczne nie są. Gross otworzył pewne okno. Jest coraz więcej książek mówiących o złych kartach naszej historii i ta prawda jest łatwiej przyjmowana. To jest praca ostatnich dziesięciu lat.

## Zakończenie oblężenia Warszawy



Szwedzi zajęli Warszawę 8 września 1655 roku. Pod koniec kwietnia 1656 roku dotarła na Pragę armia litewska Pawła Sapiehy, której udało się zbudować most pontonowy, po którym przeprawiono kilka chorągwi na lewy brzeg Wisły. W maju do armii Sapiehy dołączyła armia hetmana polnego litewskiego Wincentego Gosiewskiego i oddziały koronne dowodzone przez Ernesta Magnusa Grotthauza i Wilhelma Butlera. Szwedzi przystąpili do wzmacniania fortyfikacji –

bito pale i kopano rowy wzdłuż murów miejskich, część klasztorów i pałaców zamieniono w twierdze, część budynków spalono. Pierwszy atak na miasto miał miejsce 17 maja i został odparty przez Szwedów po kilkugodzinnej walce. Król Jan Kazimierz przybył pod Warszawę 30 maja wraz z większą częścią armii koronnej. Po przeprawieniu się przez most pontonowy Polacy zajęli pozycje w Ujazdowie, a król zamieszkał w pałacu Ujazdowskim, skąd wysłał kanclerza koronnego Stefana Korycińskiego z

propozycją honorowej kapitulacji dla Szwedów. Została ona odrzucona przez dowodzącego szwedzkim garnizonem Arvida Wittenberga. Kolejne mediacje również nie przyniosły żadnych rezultatów. 7 czerwca i 11 czerwca wojska polskie i litewskie przeprowadziły nieudane szturmy na miasto.

Po przybyciu 27 czerwca ze Lwowa i z Zamościa ciężkich dział oblężniczych, wozów z amunicją i piechoty przystąpiono do tworzenia wyłomów w murach oblężonej Warszawy. Następnego dnia główną rolę w szturmie na miasto odegrały oddziały ochotników uzbrojone w piki i w kosy. Atak został odparty przez Szwedów. Po zajęciu pałacu Radziejowskich przez szturmujących 30 czerwca Wittenberg poprosił o zawieszenie broni dla rozpoczęcia układów. Jego celem było jak najdłuższe przeciągnięcie rozmów z nadzieją na przybycie posiłków, które pomogą mu utrzymać miasto. Jan Kazimierz żądał całkowitego poddania Warszawy. Rankiem 1 lipca komisarze szwedzcy, którzy prowadzili rozmowy z Polakami, Wawrzyniec Canthersten i pułkownik Jerzy Forgell, zabrali spisane warunki kapitulacji, które Wittenberg winien był podpisać w ciągu pół godziny. Ponieważ do tego nie doszło, rozpoczął się ostrzał fortyfikacji warszawskich przez Grodzickiego i szturm regularnej piechoty i ochotników na Bramę Nowomiejską. Po tym jak oddziały złożone głównie z chłopów i z czeladzi wdarły się do miasta i zaczęły atakować ostatnie obiekty pozostające w rękach Szwedów, dowódca szwedzkiego garnizonu przystał na warunki kapitulacji.

Joachim Jerlicz zanotował w swoich wspomnieniach, że Wittenberg zrobił to bardzo niechętnie: *Tak był twardego serca Wittenberg, który sam chciał sobie zadać śmierć, aniżeli się poddać dobrowolnie.* Dopiero lament dam szwedzkich na czele z generałową Douglasową i namowy całego otoczenia spowodowały zmianę jego

postawy. Wittenberg miał krzyknąć z okna zamkowego do trębacza, iż przystaje na wszystkie przedstawione mu warunki kapitulacji, kiedy zobaczył swoich żołnierzy broniących się pod kolumną Zygmunta. Kiedy do pałacu Ossolińskich przybyli komisarze szwedzcy Adam Weyher i Jerzy Forgell, Jan Kazimierz, wbrew zdaniu części otoczenia, nakazał przerwanie działań wojennych. Uczestnik tamtych wydarzeń, Wespazjan Kochowski, w swoich pamiętnikach tak uzasadniał decyzję króla: *Albowiem cóż będzie w mieście bezpieczne i co zdoła ocaleć, gdy raz pozwoli się na wszystko mieczowi? Szwedzi zginą razem z mieszkańcami, wrogowie wraz z niewinnymi; poświęcone Bogu osoby i świeccy mieszkańcy, słaba pleć i nieświadome nieszczęścia dzieci bez różnicy zostaną przyprawieni o zgubę. Ta sama wściekłość wtargnie do miejsc świętych, przed chciwymi łupu rękami nie uchronią się bogactwa kościołów, skarbcze publiczne ani prywatne majątności, a przy tym zwycięzcy, srożąc się, sami poniosą znaczne straty, gdyż Szwedzi, mężnie spojrzawszy w oczy przeznaczeniu, drogo będą oddawać swoje życie.* Ochotnicy nie zamierzali zaprzestać walki i wystąpili przeciwko własnym panom – pod Czarnieckim zabito konia, hetman polny koronny Stanisław Lanckoroński gdy zaciął kilku ochotników nahajką, ledwo nie został św. Szczepanem, gdyż gęsto kamienie i obuchy za nim leciały, że ledwo uniósł życie. Tłum rzucił się na bazar ormiański, obrabowano wówczas kilkudziesięciu Ormian, w koszulach ich prawie tylko zostawiwszy i na sto tysięcy jakie szkody uczyniwszy.

Anonimowy autor *Początku wojny ze Szwedami Polaków* zapisał:

*Mędzy sobą takiego mądrego nabyli,*

*Rzekł ten: Ormianie tu są, tymi płacmy sobie*

*Towarami, zarazem skoczyli w tej dobie,*

*Poszarpali chudaków, którym na tysięcy  
Sto szkody uczynili, lecz pono więcej  
Poszedłby był ten pożar, już Leszianie  
byli  
w strachu, ale hetman z żołnierzem  
przybyli  
z chorągwiami, a noc też zaraz nastąpiła,  
Że ledwie się swawola uspokoiła.  
Tej nocy zaraz bramy dobrze opatrzone,  
Także wbiegać hołocie do miasta  
broniono.*

Żołnierze szwedzcy, którzy początkowo mieli opuścić stolicę pod bronią i z honorami, zostali wraz z Wittenbergiem internowani. Powodem zmiany decyzji był fakt, że wśród nich znajdowały się także oddziały z Prus Książęcych i Kurlandii, którym, zgodnie z W.Sz.

zawartym porozumieniem, nie wolno było odejść. Żołnierze dawnego regimentu radziwiłłowskiego zostali wcieleni do oddziałów polskich. Ze względu na liczne kradzieże i próby wywożenia kosztowności przez rodziny Szwedów, wszystkie łupy zostały opieczetowane przez komisarzy królewskich. Ich praca polegająca na inwentaryzacji i oddawaniu przedmiotów prawowitym właścicielom trwała długo, a niezadowolone wojsko, które liczyło na udział w podziale skarbów (szczególnie tych należących do Bogusława Radziwiłła), oskarżało komisarzy o przywłaszczanie sobie bogactw.

Warszawa po trwającej niespełna rok okupacji była w znacznym stopniu zniszczona, do Szwecji wywieziono zbiory bibliotek, archiwum Metryki Koronnej, wyposażenie wnętrzu wielu pałaców, fragmenty budowli – była to grabież planowa i jedynie niewielką część udało się wydobyć ze statków, które utonęły w Wiśle lub osiadły na mieliźnie.

Ilustracja: *Umocnienia Warszawy w czasie bitwy pod Warszawą w lipcu 1656*, Erik Dahlbergh, [Wikipedia](#), Domena Publiczna.

*Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski*

**73.**  
rocznica  
Powstania  
Warszawskiego

1 SIERPNIA PAMIĘTAMY  
WOLNOŚĆ ŁĄCZY

## DZIENNIK CZECZEŃSKI

POLINY ŻEREBCOWEJ

REŻYSERIA  
IWAN WYRPAJEW  
W ROLI GŁÓWNEJ  
ANDRZEJ SEWERYN



## Konferencja w Poczdamie



Trwająca dwa tygodnie konferencja Wielkiej Trójki w Poczdamie potwierdziła ustalenia wcześniejszych spotkań przywódców antyhitlerowskiej koalicji i określiła polityczny ład, który miał obowiązywać w powojennej Europie przez kilka kolejnych dziesięcioleci.

17 lipca 1945 roku w poczdamskim pałacu Cecilienhof spotkali się ze sobą przywódcy trzech państw, które pokonały w II wojnie światowej III Rzeszę i jej sojuszników. Ze

Stanów Zjednoczonych do zniszczonych Niemiec przybył prezydent Harry S. Truman, ZSRR reprezentował Józef Stalin, zaś Wielką Brytanię premier Winston Churchill. W czasie trwania obrad Churchill, którego Partia Konserwatywna przegrała wybory parlamentarne na wyspach, został zastąpiony przez Clementa Attlee, nowego premiera wywodzącego się z Partii Pracy.

Znamienne jest, że zwycięskie mocarstwa postanowiły zorganizować konferencję na

terytorium pokonanego przeciwnika. Samo wydarzenie miało więc swój wymiar symboliczny, a wiele decyzji podjętych przez Wielką Trójkę w Poczdamie dotyczyło państwa niemieckiego i przyszłego losu jego obywateli. Alianci określili, że ich celem nie jest ani trwała okupacja III Rzeszy, ani też – pomimo bezsprzecznej odpowiedzialności za wywołanie światowego konfliktu – pognębienie Niemców jako narodu. Mimo to rozwinęto uzgodnienia powzięte na konferencji w Jałcie i utworzono Sojuszniczą Radę Kontroli Niemiec, doprecyzowując przy okazji przebieg granic czterech stref okupacyjnych (amerykańskiej, brytyjskiej, francuskiej i sowieckiej), na jakie została podzielona Rzesza. Ustalono także, że każdy z aliantów będzie mógł egzekwować reparacje wojenne z zajętego przez siebie obszaru.

Dla nowego porządku europejskiego równie ważna była denazyfikacja Niemiec, polegająca na likwidacji struktur NSDAP, która miała wiązać się z osądzeniem i ukaraniem należących do tej partii zbrodniarzy wojennych. Inne decyzje konferencji poczdamskiej dotyczyły demonopolizacji (podzielenia dużych przedsiębiorstw przemysłowych na szereg mniejszych, tak aby nie wpływały one w

Paweł Cichocki

Fotografia w tle: Harry S. Truman i Józef Stalin na konferencji poczdamskiej, około 28 lipca - 1 sierpnia 1945, [domena publiczna](#).

przyszłości na politykę gospodarczą Niemiec), demilitaryzacji oraz decentralizacji kraju, rządzanego do niedawna przez Adolfa Hitlera. Kluczową decyzją dla przyszłości Polski, którą podjęto w Poczdamie (oprócz udzielenia przez aliantów poparcia Tymczasowemu Rządowi Jedności Narodowej), było wytyczenie nowej granicy zachodniej naszego państwa.

Miała ona przebiegać wzdłuż linii Odry i Nysy Łużyckiej, co tym samym oznaczało, że w obrębie Rzeczypospolitej znajdą się tereny, które przed 1939 roku należały do Niemiec. Pod zarząd władz w Warszawie przeszedł również Gdańsk oraz duża część dawnych Prus Wschodnich (na południe od linii Braniewo – Gołdap). Przywódcy Stanów Zjednoczonych, ZSRR i Wielkiej Brytanii w obawie przed konfliktami narodowościowymi – które po zmianie przebiegu granic w Europie Środkowo-Wschodniej mogłyby doprowadzić do kolejnej wojny – postanowili przesiedlić ludność niemiecką z obszaru Czechosłowacji, Polski i Węgier. Warto zaznaczyć, że wszystkie ustalenia z Poczdamu miały charakter przejściowy, zaś szczegółowymi zmianami terytorialnymi miano zająć się na osobnej konferencji pokojowej, do której zwołania jednak nigdy nie doszło.

*Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski*

## Pokój w Tylży. Powstanie Księstwa Warszawskiego



Z prof. **Barbarą Grochulską**  
rozmawia Ewa Zientara

*W jakich okolicznościach powstało  
Księstwo Warszawskie?*

Powstało w wyniku wojny, której miało nie być, a więc w okolicznościach dość zaskakujących. Rozgromienie wspomaganej przez Rosję Austrii w bitwie trzech cesarzy pod Austerlitz 2 grudnia 1805 roku, w rocznicę koronacji

Napoleona, i pokój zawarty z Austrią w Preszburgu 26 grudnia satysfakcjonowały cesarza Francuzów. Austria zrzekła się Wenecji, Istrii i Dalmacji na rzecz Królestwa Włoskiego, a Szwabii i Tyrolu na rzecz elektora wirtemberskiego i bawarskiego. Pół roku później, 12 lipca 1806 roku, 16 państw niemieckich zawiązało Związek Reński, występując z Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, i sprzymierzyło się z Napoleonem, przechodząc faktycznie pod zwierzchnictwo Francji. Cesarstwo Rzymskie rozpadło się 6 sierpnia 1806.

Cesarz Franciszek II złożył cesarską koronę, pozostając już tylko przy tytule cesarza Austrii, jako Franciszek I. Mapa polityczna Niemiec i Włoch została ułożona wedle dyktatu Napoleona, pokój był więc dla niego korzystny, zwłaszcza, że społeczeństwo francuskie było już zmęczone wojnami i Napoleon zdawał sobie z tego sprawę. Depesza powiadamiająca naród francuski o zwycięstwie i rozpoczęciu pertraktacji pokojowych kończyła się zapewnieniem, że nadzieja na rychły pokój stanowiła i stanowi stale obecną i najważniejszą ideę cesarza. Wszystko wskazywało na to, że Napoleon nie zamierzał posunąć dalej swojej ekspansji. Rozgrywka z Anglią pozostawała w planie dalszych, ostatecznych rozstrzygnięć.

Sprawy przybrały jednakże inny obrót. Rosja, zamiast z Francją, sprzymierzyła się z Prusami przeciwko Napoleonowi, bardziej ufając starym sojuszom. Głównym powodem niezadowolenia Prus były wzrastające wpływy francuskie na terenie Niemiec, a utworzenie Związku Reńskiego stało się sygnałem alarmowym. Nastroje antyfrancuskie zaostrzyła jeszcze bardziej sprawa obiecanego Prusom w grudniu 1805 roku Hanoweru, który rok później Napoleon zaproponował Anglii. Propaganda antyfrancuska przypominała czasy niedawnej świetności, kiedy Fryderyk Wielki dyktował warunki Europie, a armia pruska słynęła jako jedna z najlepszych, najbardziej nowoczesnych armii świata. Rozbiory Polski umocniły poczucie siły.

26 września Fryderyk Wilhelm III, pod naciskiem ministrów Steina i Hardenberga, wysłał Napoleonowi ultimatum z terminem realizacji żądań do 8 października. Zażądał wycofania wojsk francuskich z terenu Niemiec oraz wyrażenia zgody na utworzenie związku państw północnoniemieckich pod protektorem Prus. Napoleon warunki odrzucił. W trzy tygodnie później, 14 października, armia

pruska została rozgromiona w dwóch bitwach: pod Jeną i pod Auerstädt, gdzie dowodził Davout. Rozmiary klęski Prus były tak wielkie, że zaskoczyły nawet samego Napoleona. Nie doszło jednak do podpisania pokoju. Pozostawała ostateczna rozgrywka z Rosją.

Rozbicie głównych sił pruskich umożliwiło Francuzom operowanie poszczególnymi korpusami, które w pościgu za rozproszonymi wojskami pruskimi rozeszły się ku zachodowi i północy. Armia francuska posuwała się na wschód, w stronę granic Polski, na olbrzymiej przestrzeni od Bałtyku po Dolny Śląsk. Sam Napoleon, na czele szczupłych sił, ruszył wolno ku Berlinowi, dokąd uroczyście wjechał 27 października. Tu właśnie zapadła decyzja o użyciu w tej wojnie sprawy polskiej. Generał Dąbrowski, który stawiał się na rozkaz cesarza w kwaterze głównej już kilka dni wcześniej, oraz Józef Wybicki, z upoważnienia cesarza, wydali 3 listopada 1806 r. odezwę do Polaków, wzywającą do mobilizacji sił. Pojawiła się w niej także zapowiedź rychłego przyjazdu Tadeusza Kościuszki, który - jak wiadomo - odmówił współpracy z Napoleonem. Odtąd wypadki potoczyły się błyskawicznie. Korpus Davouta miał pierwszy przekroczyć granicę polską. Trochę wcześniej przybyli do Poznania Wybicki i Dąbrowski, którym cesarz dał pełnomocnictwo do organizowania władz i wojska. Obaj wywiązali się z tego zadania znakomicie. Prowadząc zręczną politykę faktów dokonanych, wciągali Napoleona w grę o Polskę. Starali się przyspieszyć formowanie sił zbrojnych, wyzyskując stare i nowe sposoby rekrutacji. Na żądanie Napoleona Dąbrowski ogłosił też pospolite ruszenie. Dąbrowski i Wybicki wykonali olbrzymią pracę organizacyjną. Prawie pół roku przed traktatem tylżyckim z Rosją i Prusami ziemie polskie drugiego i trzeciego zaboru pruskiego miały polską administrację, wojsko i nadany przez Napoleona rząd tymczasowy, zwany

Komisją Rządzącą. Polacy czekali z nadzieją na dalszy rozwój wydarzeń.

### ***Dlaczego nowopowstałe państwo nazwano Księstwem Warszawskim?***

Taktyka niejasnych obietnic, kluczenia, stosowania uników w wypowiedziach na temat spraw polskich, jaką stosował Napoleon w Berlinie, Poznaniu, a początkowo i w Warszawie, w Tylży nabrała innego kolorytu. Nie chodziło już o powołanie państwa dla Polaków: to państwo, choć nieformalnie, praktycznie już istniało. Miało swój rząd, administrację, wojsko, radziło sobie, lepiej czy gorzej, z obsługą armii, z zakwaterowaniem i ze wszystkimi kłopotami wojny. W Tylży chodziło więc nie o powołanie państwa, ale o to, jak zostanie ono osadzone na mapie Europy: czy będzie to zaczątek odradzającej się Polski, czy nowe państwko wymyślane przez cesarza na użytek doraźnie stosowanej taktyki, niezakorzenione w tradycji, które może zniknąć tak nagle, jak nieoczekiwanie się pojawiło. W interesie państw rozbiorczych leżało, by na mapie Europy nie pojawiła się Polska. Pozornie Napoleon był w świetnej sytuacji. Niedawny pogromca Austrii i Prus po dwóch poważnych bitwach z wojskami rosyjskimi, ponoć zwycięskimi, zdobyciu Tczewa i Gdańska, mógł - wydawało się - dyktować spokojnie warunki pokoju. Ale wojna toczyła się nadal i car nie był skłonny wyjść z propozycją pokoju. Sytuacja stawała się kłopotliwa. Armia francuska poniosła duże straty - około 20 tysięcy zabitych. Żołnierze byli wyczerpani trudami wojny w dokuczliwie zimnym klimacie, a długi pobyt poza granicami kraju sprzyjał zniechęceniu i demoralizacji.

Rozeznając się już w tym, co jest najbardziej newralgiczne w pertraktacjach z Aleksandrem, Napoleon zagrał dwoma atutami, które pozwoliły mu, nie drażniąc nadmiernie cara, utrzymać *status quo* w

sprawie polskiej: nazwą nowego państwa i koroną dla jego władcy. Cesarz miał już na tyle duże doświadczenie w kreowaniu nowych państw w Europie, że pomysł nazwy przyszedł łatwo i mieścił się w standardach jego poczynań. W okresie wcześniejszym, Dyktatoratu, nowo powstałe państwa nazywano przeważnie republikami, inaczej: rzeczpospolitymi. Później, w czasach Konsulatu i dalej Cesarstwa Napoleon używał bardziej etatystycznej formuły, jak księstwo, wielkie księstwo czy królestwo. Małe państwo powstałe w Tylży mieściło się w kategorii księstwa. Przymiotnik "polskie" musiał być wykreślony, naturalna była więc nazwa utworzona od największego miasta i w dodatku dawnej stolicy kraju. Koronę przyszłego władcy ofiarował Aleksandrowi. Ten w zamian zaproponował, żeby korona przeszła w ręce kogoś z rodziny cesarza Francuzów. Pertraktacje zakończył uzgodniony wybór Fryderyka Augusta z dynastii Wettinów saskich.

Wybór ten nawiązywał do tradycji Rzeczypospolitej. Konstytucja 3 maja przeznaczyła tron Polski potomstwu Augusta III jako następcom tronu po śmierci Stanisława Augusta. Teraz tron księstwa miał objąć Fryderyk August. Formuła ustrojowa była jednakże skomplikowana i dwuznaczna. Jako władcy Księstwa Warszawskiego przysługiwać mu powinien tytuł Księcia Warszawskiego. W konstytucji nie ma jednak takiego wyrażenia. Jest mowa tylko o królu, ponieważ stanowisko księcia, korona książęca warszawska, należały dziedzicznie do króla saskiego. W kręgach dyplomatycznych państw rozbiorczych problem ten wywoływał nie tylko zainteresowanie, ale dużą nerwowość. Ostateczna wersja traktatu pokojowego pozwoliła im odetchnąć z ulgą.

Za przykład nastrojów tamtych dni może posłużyć list jednego z dyplomatów austriackich, pisany z Warszawy do

ówczesnego ministra spraw zagranicznych Johanna Stadiona: "Mam zaszczyt zawiadomić Waszą Ekszelencję, że przybyłem tutaj i śpieszę przede wszystkim sprostować pewien błąd, który wkraść się do mojego raportu z dziewiątego tegoż miesiąca. Jego Królewska Mość Król Pruski zapewniał mnie, że wiadomość, jakoby ziemie odebrane Jemu i oddane Królowi Saskiemu miały znowu nazywać się Polską, jest fałszywa. Władca Saski będzie posiadał te ziemie pod nazwą Księstwa Warszawskiego, co czyni jednak małą różnicę i powoduje ogromne niezadowolenie Polaków".

### ***Jak Polacy przyjęli powołanie Księstwa?***

Jak pisze Marian Kallas w książce *Konstytucja Księstwa Warszawskiego*: "Sojusz Napoleona z Aleksandrem został okupiony (głównie ze względu na Rosję, a także Austrię) szeregiem ustępstw ze strony Napoleona (zwłaszcza w »sprawie polskiej«). Traktat pokojowy przyniósł uznanie przez Rosję przewagi francuskiej w Europie (m.in. uznanie Związku Reńskiego i Ks. Warszawskiego). Traktat ten będący w gruncie rzeczy pozornym i nietrwałym sukcesem, wywołał niezadowolenie, z różnych zresztą względów, w wielu krajach, a zwłaszcza w Rosji, Prusach, Austrii, Saksonii no i w Księstwie Warszawskim, i - oczywiście - w Anglii. Wśród Polaków traktat pokojowy wywołał konsternację i oburzenie. Nieprzychylnie przyjęto utworzenie małego księstwa, nawet pozbawionego nazwy »polskiego«. Również relacje ze strony francuskiej wskazują na niezadowolenie i jednocześnie zdumienie wywołane traktatem tylżyckim. Szczególnie odnośnie postanowień terytorialnych dotyczących ziem polskich. Sytuacja na ziemiach polskich po Tylży znalazła też odbicie w licznych pamiętnikach z tego okresu. Ich autorzy o najróżniejszych przekonaniach politycznych, w przeważającej mierze zgodni byli w ocenie nastrojów Polaków

po utworzeniu Księstwa Warszawskiego".

Buntować się zaczęli nawet najbardziej związani z cesarzem wojskowi. Tak o tym pisano: "Wielu z IchMP oficerów polskich, zapomniawszy, że wykonali przysięgę wierności N. Cesarzowi, považają się, po oberżach i miejscach publicznych schadzek, używać słów nieprzyzwoitych i wyrazów uwłaczających powinno temuż monarsze uszanowania". Rozgoryczenie Polaków dotyczyło zarówno terytorium nowego państwa, jak i przedstawionej propozycji ustrojowej. Drażniło wyeliminowanie z politycznego języka słów: "Polska", "Polacy", "państwo polskie". Napoleon proponował, żeby obywatele księstwa nazywać Warszawianami. Później przyznał, że zrobił to, by nie drażnić Aleksandra. Po pierwszym szoku nastroje z wolna się uspokajały. Rzeczywistość przedstawiała się ostatecznie lepiej, niż przewidywano. Trudno jednak ocenić ogólnie stosunek Polaków do nowego, trochę dziwnego państwa. Uspokojeniu i stabilizacji nastrojów nie sprzyjała wciąż niestabilna sytuacja polityczna w Europie. W ciągu sześciu lat istnienia księstwa mało było chwil spokoju. W obu wojnach, które rozgrywały się również na ziemiach polskich - z Austrią w 1809 roku i z Rosją w 1812 - uczestniczyli Polacy.

O ocenę stosunku Polaków do Napoleona i do państwa, które podarował, spierali się zarówno obserwatorzy współczesnych wydarzeń, jak i historycy. Sądy ich zależały w dużej mierze od poglądów politycznych czy światopoglądu. Na ogół jednak wszyscy prawie bez wyjątku rozumieli, że *casus* Polski jest odmienny i nie przystaje do standardów europejskich. Przekonanie to wyrażali zarówno ówczesni, jak i późniejsi komentatorzy. Oto co pisała pani de Staël, zajadła przeciwniczka cesarza, dla której każdy, kto opowiedział się za Napoleonem, był nienawistny jako sprzymierzeniec tyraństwa: "Polacy to jedyni Europejczycy, którzy bez

wstydu mogą służyć pod sztandarami Napoleona". Norman Davies, historyk angielski, a zarazem znawca historii Polski, napisał: "Dla Francuzów kampania w Rosji była po prostu kolejnym aktem rewolucyjnego imperializmu. Dla Rosjan stała się ostatecznym sprawdzianem integralności i trwałości ich cesarstwa. Jedynie dla Polaków była to wojna wyzwolenicza". Warto na koniec przytoczyć mądrą, zrównoważoną opinię na ten sam temat przenikliwego w sądach historyka Mieczysława Żywczyńskiego. "Choć eksploatowani ogromnie przez Francję, choć zamknięci w państewku wasalnym, obejmującym tylko część ziem polskich, wszyscy uświadomieni politycznie mieszkańcy Księstwa w swojej większości, to jest część szlachty i ogromna większość mieszczaństwa, byli oddani Napoleonowi. Przekreślił przecie dzieło rozbiorów, dał awans społeczny mieszczaństwu, zwiększył możliwość wpływów oświecenia, ożywił nadzieje na pełne odrodzenie państwa polskiego".

### ***Dlaczego w Księstwie Warszawskim nie wprowadzono Konstytucji 3 maja?***

Prawdopodobnie zrobiono by to, gdyby decyzja nie zależała od Napoleona. To on, ponad głowami Polaków, wynegocjował z Rosją i Prusami utworzenie nowego państwa, wasalnego, jak wiele podobnych państw w podbitej Europie. On też określał formę ustroju takich państw. Możliwości powrotu do Konstytucji 3 maja w ogóle nie brano pod uwagę, tak ze względów taktycznych, jak ideologicznych. Względy taktyczne skłaniały do wielkiej ostrożności, z racji drażliwości Aleksandra. Pokój co prawda został już zawarty, chodziło jednak o to, by był trwały. Podobnie jak w kwestii nazwy państwa, tak i kwestii jego ustroju, należało unikać wszelkich odniesień do tradycji Rzeczypospolitej. Przywołanie ustawy majowej, niosącej tak wielki ładunek patriotycznych emocji, wiążących się ze wspomnieniem Sejmu

Czteroletniego, kierowanych najczęściej przeciwko Rosji, byłoby prowokacją. Niezależnie od tego, Konstytucja 3 maja była dla Napoleona nie do przyjęcia, jako zbyt odległa od modelu konstytucji napoleońskich.

Napoleon był opętany ideą unifikacji Europy, którą traktował jako misję cywilizacyjną. Europa zjednoczona i ucywilizowana to nie tylko *idée fixe* cesarza, ale i konsekwentnie realizowany program działania. Polityka Napoleona polegała przecież - pisał Władysław Sobociński - nie tylko na faktach, ale także na tworzeniu instytucji i norm, które wychodziły częściowo poza Francję. Sama koncepcja cesarstwa, nawiązująca do rzymskiej i karolińskiej, miała na względzie panowanie Napoleona w skali europejskiej czy światowej. Do ulubionej idei wracał Napoleon często we wspomnieniach ze Świętej Heleny. Żalił się, że Europa nie rozumiała jego intencji, że - przeciwnie - zjednoczyła się, żeby go zniszczyć. Ostrzegał, że będzie poniewczasie żałowała, iż obaliła jego imperium, które byłoby stabilizatorem stosunków między państwami. Twierdził, że "Europa pilnie potrzebuje konstytucji politycznej". Widząc problem ustroju księstwa w tej perspektywie, nie należy się dziwić, że dostało ono z rąk cesarza ustawę podobną do innych konstytucji napoleońskich, takich jak francuska z roku 1799, z późniejszymi poprawkami, włoska z 1802 czy westfalska z 1807. Ale ludzie współcześni tej perspektywy nie mieli. Przyjęli konstytucję, która była zaprzeczeniem ustroju majowego, ustawę oddającą pełnię władzy wykonawczej oraz inicjatywę ustawodawczą w ręce króla, ograniczającą kompetencje sejm i samorządów, ze scentralizowaną, rozbudowaną administracją.

### ***Jaki był stosunek Napoleona do Polaków?***

Pytanie o stosunek Napoleona do Polski i Polaków jest niezwykle trudne, podobnie

jak trudne byłoby pytanie inne: o jego stosunek do czegokolwiek lub kogokolwiek. Osobliwość tej postaci była i jest przedmiotem refleksji zarówno naocznych świadków jego życia, jak i następnych pokoleń ludzi nauki, sztuki, mężów stanu, pisarzy i poetów. Niewiele jest tematów w historii Europy obciążonych wciąż równie silnymi emocjami, jak dzieje tych kilkunastu lat, kiedy powstało i upadło imperium francuskie, pozostawiając kontynent w sytuacji gruntownie zmienionej. Stało się tak za sprawą młodego Korsykanina spragnionego sukcesów, w którego umyśle, doskonale logicznym, zagościło trwale marzenie o zjednoczeniu krajów europejskich w jednym uniwersalnym państwie. W miarę podbojów myśl ta powoli stawała się jego obsesją. Wracał do niej często w pamiętniku z wyspy Świętej Heleny, dowodząc, że była to jedyna możliwość uporządkowania Europy i zapewnienia jej trwałego pokoju. Tak więc w polu zetknięcia żelaznej woli małego kaprała i marzeń stwórcy ładu powszechnego rozgrywały się losy Europy w latach 1796-1815. Jedynie w tej perspektywie dostrzegane wydarzenia układają się w zracjonalizowany porządek, w którym nie ma miejsca na zarzut szaleństwa, a taki pojawiał się nawet w ówczesnych kręgach rządowych Francji. Zrozumiała stała się też formuła legitymizacji swojej władzy i jej moralne uzasadnienie: "To ja jestem niewolnikiem - mówił - najbardziej zniewolonym, bo mój pan jest bez serca, a moim panem jest natura rzeczy". W takim ujęciu stawiane mu często zarzuty o zdradę ideałów młodości, o dyktatorstwo, o cynizm i nielojalność wobec ludzi oddanych, przestają istnieć. To nie on jest dyktatorem - on jest sługą dyktatora. Natura rzeczy wskazuje cel, pozostaje zadanie osiągnięcia go.

Ślady takiego rozumienia fenomenu Napoleona odnajdujemy w opiniach współczesnych. Idąc tropem dociekań

jednego z najbardziej wnikliwych badaczy, Stefana Treugutta, przytoczę, podobnie jak on, opinię pani de Staël: "Widywałam ludzi bardzo godnych szacunku, widywałam także ludzi okrutnych. We wrażeniu, jakie Bonaparte na mnie zrobił, nie było nic, co by przypominało tych pierwszych lub tych drugich. Spostrzegłam dość szybko, że charakteru jego niepodobna określić słowami, jakimi się zwykle posługujemy. Nie był ani dobry, ani gwałtowny, ani łagodny, ani też okrutny na sposób, taki jak indywidua nam znane. Ktoś taki, nie mający podobieństw do nikogo, nie może odczuwać ani skłaniać do sympatii, do jakiegoś współodczuwania. To więcej lub mniej niż człowiek. Widując Bonapartego częściej, wcale nie nabierałam pewności siebie. Onieśmielał mnie coraz bardziej. Niejasno odczuwałam, że żadne odruchy serca nie mogą na niego wpłynąć. Na stworzenia ludzkie nie patrzył on, jak na podobnych sobie, ale jak na rzecz, przedmiot".

Potwierdzenie tej prawdy o sobie dawał Napoleon w wypowiedziach zanotowanych w pamiętniku ze Świętej Heleny. Jedno z nich warto przytoczyć. Kiedy mówiono o tłumie pisarzy wypowiadających się przeciw niemu, stwierdził lekceważąco: "Jestem przeznaczony do tego, by stanowić dla nich żer, ale nie obawiam się zbytnio, żebym stał się ich ofiarą. Będą szarpać granit, żeby mnie pokonać z sukcesem, trzeba okazać siłę autorytetu swoich dokonań. Jeśliby Wielki Fryderyk lub ktoś o podobnej mocy wystąpił przeciwko mnie, byłoby to co innego, może to byłby właśnie moment, żeby się zacząć niepokoić, ale jeśli chodzi o tych innych, ktokolwiek by to był, przeżyję. Jeszcze kiedyś, kiedy będą chcieli się podobać, zaczną mnie chwalić".

Mamy do czynienia z filozofią podziału na "gigantów mocy" i ludzki tłum nierozpoznawalny, męczący, ale potrzebny, wymagający, którego siły powinny być maksymalnie wykorzystane.

Czyżby to miała być wyrażona w ten sposób idea dyktatury? Nie - geniusz to znacznie więcej niż dyktatura. Nie ma powodu sądzić, by stosunek Napoleona do Polski i Polaków kształtował się według innych zasad. Klimat pierwszych spotkań generałów polskich z ówczesnym wodzem armii włoskiej jest tego potwierdzeniem. Generałowie Dąbrowski i Wojczyński przywieźli z trudem wyjednaną decyzję dyrektoriatu zezwalającą na utworzenie pierwszego, pomocniczego oddziału polskiego, którą to decyzję wraz z listem polecającym mieli wręczyć Bonapartemu. Szli poruszeni perspektywą spotkania, dumni, że ich trud nie poszedł na marne, spragnieni natychmiastowego włączenia się do działań. Scenerię tych spotkań opisał sugestywnie Jan Pachonński: "Rano, 2 grudnia, Dąbrowski i Wojczyński udali się do starego pałacu Serbellonich na Corso Venezia. Jednakże Bonaparte był niedysponowany i wyznaczył im spotkanie na dzień następny, w południe. Nazajutrz generał Dąbrowski w mundurze polskiego generała, a Wojczyński po cywilnemu stanęli przed wodzem. Przyjął ich siedząc, wymizerowany w paradnym mundurze. Listu ministra wojny nawet nie czytał. Oświadczył, że wie o co chodzi i że tytułem próby mogą formować kompanię. Jeśli będzie ona dobrze walczyć rozwinie formację, jeżeli nie, mogą być spokojni o swój los. Widoczne było, że chce się pozbyć przybyszów".

Dąbrowski poczuł się głęboko dotknięty sposobem potraktowania go jak kondotiera. Wracali obaj zdruzgotani. Sądziło, że postępowanie Bonapartego wiąże się z dwulicową polityką Dyrektoriatu, który chciał się ich pozbyć i odpowiednie instrukcje przesłał do Mediolanu. Mylili się jednak, bo ostatecznie współpraca ułożyła się dobrze. Napoleonowi potrzebny był świeży dobór żołnierzy, a Polacy cieszyli się sławą walecznych: zabiegali o nich werbownicy różnych nacji - Niemcy, Pruscy, Angielscy. Bonaparte doceniał w

Dąbrowskim fachowość wodza i wysoki poziom jego morale. Historia legionów jest znana, znamy też tragiczny ich koniec. Z sześciu tysięcy żołnierzy wysłanych na San Domingo w celu pacyfikacji zrewoltowanych mieszkańców wróciło zaledwie sześciuset. Bilans całego przedsięwzięcia jednostronnie zapisany w rubryce strat: legioniści nie zdołali wesprzeć sprawy wyzwolenia kraju, Dąbrowski nie wyprowadził ich z ziemi włoskiej do Polski. Nastrój rozgoryczenia opanował umysł.

Jak to się jednak stało, że pomimo dojmującego poczucia krzywdy tradycja legionów tak mocno wrosła w świadomość narodową Polaków, że w trzy lata później Dąbrowski i inni, nawet najbardziej rozgoryczony Wybicki, stawili się u boku Napoleona na pierwsze jego wezwanie? Fenomen takiej wierności można tłumaczyć co najmniej na dwa sposoby. Pierwszym jest przypuszczenie, że legiony zostały po części beneficjentem legendy napoleońskiej, i to tej młodej, pięknej, nieskalanej jeszcze duchem imperialnego ekspansjonizmu. Z portretów wyzierała chłopięca postać wodza o hardym spojrzeniu, jego rozwiane włosy i koń rwący się do skoku. Była to symbolika młodości, siły i piękna. Drugim sposobem tłumaczenia głębokiego zakorzenienia w polskiej tradycji legionów - okresu przecież bardzo krótkiego - jest to, że miała ona przedłużenie w armii Księstwa Warszawskiego. Twardy rdzeń korpusu oficerskiego Księstwa to byli legioniści, którzy później zasilili szeregi wojska Królestwa Polskiego.

Utworzenie Księstwa Warszawskiego zmieniło stosunek Napoleona do sprawy polskiej. Coraz bardziej pogrążony w marzeniach o stabilizacji swojego imperium, dostrzegł w Polsce ważny element całej budowli. Planując dalszą wojnę z Rosją, usiłował pchnąć przeciw niej Portę Otomańską i Persję. W liście do szacha perskiego ujawnił program

działania, w którym znalazły się również słowa o Polsce, świadczące o intencji długofalowej polityki wyparcia Rosji z terenu zaboru rosyjskiego oraz przywrócenia Polsce jej dawnego miejsca w Europie. Pisał: "Warszawa, w której przebywam, była stolicą wielkiego państwa, które swojego czasu dominowało nad Rosją i które w pewnym momencie może jeszcze odzyskać swoją świetność". Podobną myśl wyraził w przesłaniu do senatu francuskiego, ubolewając, że dopiero teraz, po latach zwycięstw, udało się odrobić stratę, jaką dla Francji były rozbiory Polski.

Uznał tymczasem istnienie Polski za konieczny element równowagi europejskiej. Było to raczej posunięcie taktyczne, jednak bardzo ważne, gdyż głos Napoleona w tym czasie rozlegał się głośnie echem na całym kontynencie. Trudno powiedzieć, czy dotrzymałby obietnic poszerzenia granic Polski, gdyby

wcześniej odniósł wyraźnie rozstrzygające zwycięstwo w wojnie z Rosją. Zdawał sobie sprawę z rozczarowania Polaków. Tłumaczył w Dreźnie członkom Komisji Rządzącej, że zrobił tyle ile mógł, w tej chwili więcej dla Polski zrobić nie może. W Warszawie poczuł się swojsko. Przyjmowany z najwyższym szacunkiem w salonach polskiej arystokracji, rozładowywał zapewne kompleksy francuskie. Gwałtowne uczucie, jakie wzbudziła w nim Maria Walewska, dodało blasku całemu pobytowi. Polubił tych wszystkich "ski" i te wszystkie "ska", jak zwierzał się baronowi de Caulaincourt, który towarzyszył mu w drodze ze Smorgoń do Paryża. Ale tony serdeczności Polaków ujawniły się najpóźniej, wobec perspektywy rychłej śmierci. "Unoszę z sobą wdzięczność Polaków" - powiedział, żaląc się na niewdzięczność Europy, która go nie zrozumiała. Jak gdyby przeczuł, że polski romantyzm stanie się znaczącą siłą nośną jego legendy.

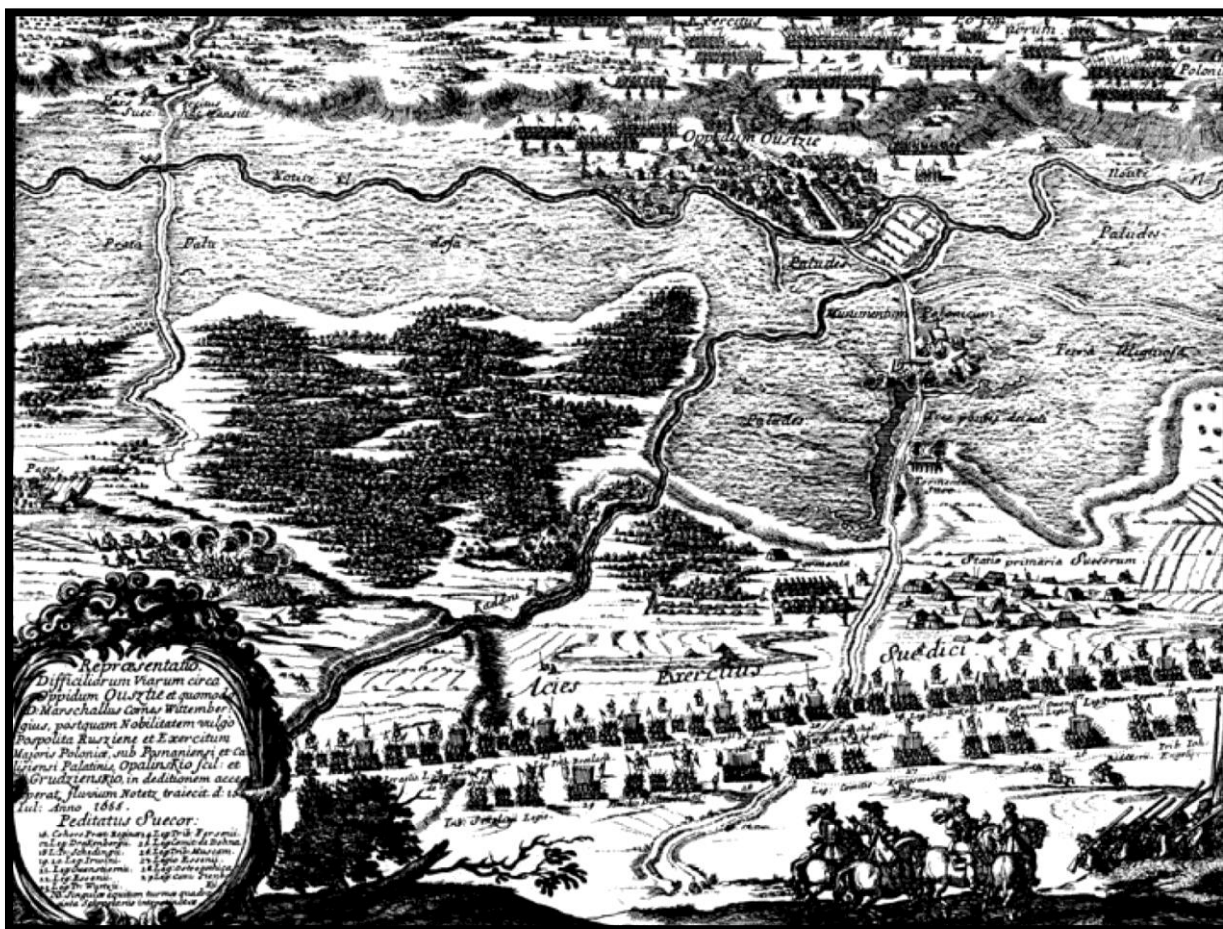
Prof. **Barbara Grochulska** - związana z Instytutem Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego, członek Rady Naukowej rocznika "Wiek Oświecenia", członek jury nagrody Klio, przewodnicząca jury nagrody im. Jerzego Skowronka, autorka m.in.: *Małe państwo wielkich nadziei* (1987), *Księstwo Warszawskie* (1991).

Ilustracja: Napoleon wita cara Aleksandra I na tratwie na Niemnie w Tylży według obrazu Adolfa Roehna z 1807 r., [Muzeum Narodowe Pałacu w Wersalu](#), CC-BY-NC.

*Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski*



## Początek potopu szwedzkiego



21 lipca 1655 r. na ziemi Rzeczypospolitej wkroczyła z Pomorza Szczecińskiego armia szwedzka dowodzona przez Arvida Wittenberga. Rozpoczął się tzw. potop szwedzki, czyli najazd armii szwedzkiej na ziemi polskie. Szwecja była państwem bardzo zaborczym i postanowiła skorzystać z osłabienia Polski. Na Ukrainie trwało powstanie kozackie Bohdana Chmielnickiego, a wojska rosyjskie zdołały opanować większość ziem litewskich. Opór armii szwedzkiej miało stawić pospolite ruszenie zgromadzone pod Ujściem i Wieluniem. Dowodzone przez wojewodów Krzysztofa Opalińskiego i Andrzeja Grudzińskiego, opierało się jednak tylko jeden dzień, po czym podpisano kapitulację. Na jej podstawie szlachta i Kościół miały zachować przywileje.

Druga armia szwedzka dowodzona przez Magnusa de la Gardie wkroczyła do Rzeczypospolitej z terenu Inflant. Ona również nie napotkała większego oporu. Dowódca

szwedzki zapowiadał pomoc dla szlachty w walce z najazdem rosyjskim. Wpłynęło to na decyzję hetmana Janusza Radziwiłła, który oddał Szwedom pod władanie Litwę.

Wojska szwedzkie szybko zajęły Warszawę, a król Jan Kazimierz zmuszony był do ucieczki na Śląsk. Wydawało się, że Rzeczpospolita jest w sytuacji beznadziejnej. Jednak bezwzględność wojsk szwedzkich i nieprzestrzeganie przez nie umów doprowadziło do powstania oporu przeciw Szwedom. Potop zakończył się dopiero w 1660 r. Rzeczpospolita wyszła z niego zrujnowana i osłabiona.

Z prof. **Mirosławem Nagielskim**  
rozmawia Wojciech Kozłowski

*Czy uderzenie szwedzkie było starannie przygotowaną inwazją na Polskę, czy też wojną, której przebieg w dużej mierze kształtowały okoliczności? Innymi słowy - czy Szwedzi byli zaskoczeni rozwojem sytuacji?*

Jedno i drugie. Gwałtowne załamanie się Rzeczypospolitej na teatrze wschodnim, upadek Smoleńska oraz zajęcie Wielkiego Księstwa Litewskiego przez wojska rosyjskie w bardzo szybkim tempie w 1654 roku było zaskoczeniem dla Karola X Gustawa. Nie ulega natomiast wątpliwości, że do wojny z Rzeczpospolitą przygotowywano się już od przełomu lat 1654/1655.

Pomocą dla Karola X Gustawa była również opozycja polska znajdująca się w Hamburgu, a później w Sztokholmie - zwłaszcza Hieronim Radziejowski. Przedstawił on Karolowi X dokładnie stan elit politycznych niechętnych królowi Janowi Kazimierzowi i generalnie fatalny, opłakany stan wojsk polskich, które ponosiły ciężkie porażki na wschodzie. Całe niemal wojsko zawodowe, a więc komputowe armii koronnej, znajdowało się niemal do połowy 1655 roku na Ukrainie.

*Czy doświadczenia 1655 roku można uznać za załamanie się autorytetu państwa, czas upadku moralności publicznej, owocujący "powszechnością zdrady"?*

Siedmioletni okres wojny na Ukrainie pokazał, że Rzeczpospolita nie może własnymi siłami uporać się z powstaniem kozackim, a przecież do 1654 roku nie przeszkadzała w tym ani Moskwa, ani Szwecja. Sojusz kozacko-tatarski był w zasadzie nie do rozbicia przez wątłe siły Rzeczypospolitej. Ta armia, która doznała przecież tylu porażek - pamiętajmy, że żadna armia europejska nie przeżyłaby takiego upustu krwi, jak armia koronna na Ukrainie - w efekcie nie miała odpowiedniego doświadczenia, bo opiera się na zaciągu nowego żołnierza, który ani nie poradził sobie na teatrze moskiewskim, ani nie podołał zawodowym weteranom wojen Karola X Gustawa.

Żołnierz patrzył na załamanie się moralne całego społeczeństwa. Wielcy senatorowie chcieli zastąpić nieszczęśliwego Jana Kazimierza - zwycięskim Karolem X Gustawem, który potem miałby rzucić armię szwedzką do odzyskania Kresów wschodnich. Tak rozumowało wielu, idąc za elitą władzy - Opalińskimi, Radziwiłłami itd. Inni, jak Jerzy Lubomirski, szukali pomocy w Siedmiogrodzie u Jerzego Rakoczego. Wszystko to fatalnie wpływało na nastroje. Szlachta była gotowa poprzeć Karola X Gustawa w zamian za poszanowanie religii katolickiej, ochronę własnych przywilejów i złotej wolności, a przede wszystkim gwarancję nienaruszalności dóbr przez żołnierza szwedzkiego, czyli zakaz stacji w swoich dobrach. W archiwum sztokholmskim są dziesiątki, jeśli nie setki dokumentów kapitulacyjnych szlachty, która wyszła z niemal wszystkich

sejmików swoich deputatów i przedstawicieli z deklaracją "przy tobie, panie, Karolu X Gustawie, królu, chcemy stać".

Targnięcie się dowództwa szwedzkiego na Jasną Górę i szczęśliwa jej obrona spowodowały łańcuch wydarzeń bardzo Szwedom niesprzyjających. Dochodzi do konfederacji tyszowieckiej, kiedy to wojsko ponownie opowiada się za walką przeciwko najeźdźcy. Ale pamiętajmy, że wojsko nie przechodzi na stronę Szwecji z pobudek wyznaniowych ani ekonomicznych, tylko ponieważ król "deseruit nas i Rzeczpospolitą" - opuścił nas jako wódz naczelny.

Jasna Góra była pewnym elementem motywacyjnym, który odwrócił bieg dziejów. Zapewne nie była ona do zdobycia dla sił Millera, skoro w 1648 roku zakończono dopiero jej budowę w nowoczesnej postaci, wykańczaną do roku 1652. Powrót króla i później śluby lwowskie i warszawskie oznaczało z kolei rzucenie hasła obudzenia ducha narodowego i pobudzenie wszystkich stanów Rzeczypospolitej do walki przeciwko Szwedom. Ponieważ oddziały zawodowe nie były w stanie pokonać najeźdźców, trzeba było wspomóc armię zawodową oddziałami nieregularnymi. Pamiętajmy, że aż do lata 1657 roku żadne państwo nie wspomaga Rzeczypospolitej - poza Chanatem Krymskim i drobnymi posiłkami Ordy. Pewna pomoc austriacka dociera do Polski dopiero w roku 1657. Jan Kazimierz podjął natomiast skuteczną próbę zawarcia czasowego rozejmu z Moskwą, by nie walczyć na dwa fronty, co udało się w listopadzie 1656 roku. Był to ze strony polskiej majstersztyk i dzięki temu zatrzymano ofensywę Moskwy, wypierając siły Szwedów z centralnych ziem Rzeczypospolitej.

***Czym dla mieszkańców Polski był najazd szwedzki? Czy nazwa "potop" jest uzasadniona?***

Jest całkowicie uzasadniona. Bieda zajrzała nie tylko do zagród chłopskich - bo przecież stan trzeci zapłacił największą cenę wojny - ale także elita władzy i szlachta w większości została obrabowana do cna. Była to totalna grabież wszystkiego. Zubożał też folwark szlachecki - widać to doskonale po zamożności szlachty. Do tej pory objawiała się ona w husarii, która była chlubą staropolskiego społeczeństwa. Zadajmy sobie pytanie, ile chorągwi husarskich wystawiała Rzeczpospolita, gdy jeden dobry arab kosztował wioskę. W schyłkowym okresie panowania Jana Kazimierza było takich chorągwi sześć. Ta liczba daje obraz możliwości szlachty po potopie. Po okresie odbudowy z Sobieskim pod Wiedeń ciągnie już 25 chorągwi husarskich. To dobrze pokazuje ogromne zubożenie szlachty. Najazd szwedzki był tragedią narodową nie tylko z powodu strat terytorialnych (odpadło lenno pruskie), ale ogromną tragedią ekonomiczną dotyczącą wszystkich warstw społecznych - od elit politycznych zaczynając, na stanie włościańskim kończąc.

***Czy można mówić, że potop ostatecznie zakończył się zwycięstwem Polski?***

Nie. Tragedia narodowa potopu powinna uzmysłwić nie tylko elitom politycznym, ale przede wszystkim szlachcie, że to państwo, które w 1655 roku się zawaliło i praktycznie przestało istnieć, musi ulec przebudowie. Należy uzdrowić Rzeczpospolitą, usprawnić funkcjonowanie sejmu i wzmocnić władzę królewską, czego tak bardzo się bano. Potop powinien był zaowocować reformami struktury państwa, ale nie został w ten sposób wykorzystany. Kiedy w 1661 i 1662 roku dwór wziął się do działania, było już za późno.

Szansa istniała wcześniej, szczególnie na sejmach 1658 i 1659 roku, gdy obrady szły

sprawnie. Szlachta w ramach ekspiacji za swe winy - zdrady monarchy w 1655 roku - gotowa była zgodzić się na pewne ograniczenia swych przywilejów. Był to wspaniały czas na postawienie kropki nad i, na przykład przeprowadzenia

reform głosowania większościowego w wielu sprawach skarbowo-wojskowych, czyli utracenia *liberum veto*. Nie wykorzystano tej szansy, a później nie było już mowy o ustępstwach ze strony szlachty. Ten czas minął bezpowrotnie.

Prof. **Mirosław Nagielski** - historyk wojskowości, pracownik Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, znawca dziejów oręża polskiego XVII wieku.

*Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski*



## Śmierć Władysława Sikorskiego



W połowie 1943 r. przyszłość polskiego Rządu na Uchodźstwie nie była klarowna. Ziemie polskie pozostawały pod okupacją niemiecką. Związek Radziecki przetrwał atak III Rzeszy, lecz sytuacja na froncie, przebiegającym od granic Finlandii do Rostowa nad morzem Azowskim, znajdowała się w stanie chwiejnej równowagi. Brytyjczycy i Amerykanie przeszli z rąk niemieckich Afrykę i dopiero szykowali się do desantu na Sycylii. W kwietniu 1943 r. Niemcy ogłosili

wiadomość o znalezieniu w Katyniu ciał pomordowanych polskich oficerów, którzy trafili do radzieckiej niewoli w 1939 r. Doprowadziło to do spięcia pomiędzy nominalnymi sojusznikami - Polską i ZSRR, w wyniku czego Związek Radziecki zerwał ostatecznie stosunki z Rządem RP na Uchodźstwie i rozpoczął formowanie "własnego polskiego rządu".

Kolejny cios na emigracyjny rząd spadł 4

lipca 1943 r. Jego premier, generał Sikorski wracał z inspekcji polskich sił na Bliskim Wschodzie. Samolot, którym generał wraz córką wracał do Londynu, wystartował z lotniska w Gibraltarze parę minut po 23:00. 16 sekund po starcie runął do morza. Utrzymał się jeszcze na powierzchni przez ok. 6 minut, po czym zatonął. Z katastrofy uratował się jedynie pilot samolotu - Czech Eduard Prchal, który został wyrzucony z kabiny samolotu w momencie uderzenia o powierzchnię wody.

Odnalezione ciało gen. Sikorskiego zostało przetransportowane na pokładzie niszczyciela ORP "Orkan" do Wielkiej Brytanii. Po uroczystościach pogrzebowych w Londynie Władysław Sikorski został pochowany na cmentarzu lotników polskich w Newark koło Nottingham. W 1993 r. jego szczątki przewieziono do Polski i złożono w krypcie katedry na Wawelu.

Po śmierci gen. Sikorskiego w polskim rządzie na emigracji zabrakło osoby, z którą liczyliby się Anglicy i Amerykanie. Sojusz z ZSRR był dla Aliantów znacznie ważniejszy niż relacje z polskim rządem. Sikorskiego postrzegano jako pragmatyka, który dysponuje dużym autorytetem wśród Polaków w kraju i na emigracji. Anglicy doceniali fakt, że po ataku Niemiec na ZSRR potrafił on się dogadać z ambasadorem ZSRR - Iwanem Majskim i

uratować wielu Polaków z Sowieckich więzień i obozów pracy (układ Sikorski-Majski, 30 lipca 1941 r.). Większość polskich polityków emigracyjnych była od początku przeciwna jakimkolwiek negocjacjom z ZSRR, dopóki Stalin nie zgodziłby się na powrót do granic sprzed września 1939 r. To czyniło z nich niewygodnych partnerów, z którymi Alianci zwyczajnie unikali wszelkich rozmów na temat przyszości Polski.

Po katastrofie nie udało się odnaleźć ciał wszystkich ofiar (m.in. córki generała - Zofii Leśniewskiej). Nie udało się również ustalić dokładnej listy pasażerów (nie było żadnej kopii na łądzie), ani jednoznacznej przyczyny wypadku. Opierając się na zeznaniach jedynej osoby, która przeżyła - Eduarda Prchala - uznano, że zawinił zablokowany ster wysokości.

Z powodu niewyjaśnionych do końca okoliczności katastrofy, powstały później podejrzenia, że nie był to wypadek, lecz zamach inspirowany przez ZSRR, Anglików lub nawet Polaków niechętnych Sikorskiemu. W 2008 r. przeprowadzono ekshumację ciała gen. Sikorskiego. Oględziny ustaliły, że premier polskiego rządu nie został zastrzelony lub otruty, lecz zginął w wyniku obrażeń typowych dla katastrofy lotniczej. Pozostałych wątpliwości (przyczyn katastrofy) nie udało się rozwiązać do dziś.

Fotografia: gen. Kazimierz Sosnkowski przemawia nad trumną Władysława Sikorskiego podczas pogrzebu w Newark, [Narodowe Archiwum Cyfrowe](#), CC-BY-NC.

*Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski*

# Podpisanie aktu Unii Lubelskiej



Rozmowa z prof. Ewą Dubas-Urwanowicz

**Jakie były główne przyczyny zawarcia unii w Lublinie w 1569 roku?**

Aby zrozumieć całą złożoność genezy unii, należy spojrzeć na problem oczyrna trzech głównych stron tego ważkiego w dziejach Rzeczypospolitej wydarzenia: króla, społeczności obywatelskiej Korony i elit politycznych Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Zygmunt August dostrzegł konieczność ściślejszego niż dotąd związku obu państw ze względu na sytuację międzynarodową państwa polsko-litewskiego począwszy od końca lat pięćdziesiątych XVI stulecia, a konkretnie rzecz biorąc - zagrożenie Wielkiego Księstwa Litewskiego ze strony Moskwy i pragnienia władcy moskiewskiego zagarnięcia oddających się w opiekę królowi i Rzeczypospolitej Inflant. W zetknięciu ze wschodnim sąsiadem Zygmunt August musiał stać się realistą: wiedział, że nie tylko Litwa bez pomocy Korony nie jest w stanie utrzymać

Inflant, ale także granica wschodnia Wielkiego Księstwa jest nie do utrzymania bez pomocy wojsk polskich. Utrata Inflant na rzecz Moskwy byłaby klęską nie tylko strategiczno-polityczną, ale i gospodarczą. Brak możliwości wykorzystania Dźwiny do eksportu towarów litewskich uderzał w możliwości swobodnego rozwoju ekonomicznego Litwy.

Nie bez znaczenia były malejące w miarę upływu czasu szanse na kontynuację dynastii Jagiellonów. Nieudany związek z Katarzyną Habsburżanką i brak możliwości stwierdzenia nieważności tego małżeństwa uświadamiały królowi, iż po jego odejściu może dojść do kryzysu politycznego, który dotknie wprawdzie obu państw, ale w nierównym stopniu. Polska miała za sobą wieloletnią tradycję elekcji, podczas gdy w Litwie choć teoretycznie istniał zwyczaj tzw. podnoszenia wielkiego księcia na stolec hospodarski, był to jednak tron dziedziczny. Jak można przypuszczać, uważał, że kryzys nadchodzącego *interregnum* głębiej dotknie Litwy niż Korony.

Troska o przyszłość Wielkiego Księstwa każe królowi przygotowywać unię nie tylko poprzez doraźne działania polityczne. Od początku lat sześćdziesiątych mamy do czynienia z poczynaniami monarchy zmierzającymi do upodobnienia struktur funkcjonowania państwa litewskiego do Korony. Jest to między innymi reforma administracyjna, zwiększająca liczbę województw i wprowadzająca wewnętrzny podział na powiaty, umożliwiającą funkcjonowanie systemu sejmikowego, a co za tym idzie - zwiększenie możliwości zaistnienia w życiu politycznym bojarstwa-szlachty Wielkiego Księstwa. Jest to także wprowadzenie podobnego do istniejącego w Polsce sądownictwa pierwszej instancji, ale także zniesienie ograniczeń dostępu wyznawców prawosławia do urzędów i godności państwowych. Jest to wreszcie - a może przede wszystkim - zrzeczenie się praw dziedzicznych do tronu litewskiego.

Wszystkie te poczynania świadczą o dużym zaangażowaniu monarchy w sprawy litewskie, o myśleniu kategoriami racji stanu tego państwa, a nie dynastii czy elit dostojniczych.

Ten sposób myślenia króla widoczny jest także podczas obrad sejmów poprzedzających unię. Widać, z jaką kulturą i rozumą monarcha gasi niepotrzebne spory hamujące dochodzenie stron do porozumienia, jak ogranicza nadmierne apetyty szlachty z izby poselskiej, dążącej do wchłonięcia Wielkiego Księstwa do Korony i utworzenia tzw. Nowej Polski.

***Czy podobnie myślała na ten temat szlachta polska? Czy unia była dla rycerstwa polskiego ukoronowaniem reform ruchu egzekucyjnego?***

Obserwując obrady sejmów egzekucyjnych - a na szczęście jest to możliwe dzięki zachowanym diariuszom sejmowym - odbywających się w latach 1562-1569 niemal co roku, widzimy różnicowanie stanowisk izby poselskiej i senatu dotyczących przyszłego kształtu związku obu państw. Uogólniając można powiedzieć, że początkowo szlachta zgromadzona w izbie poselskiej była skłonna włączyć Wielkie Księstwo do Korony, stanowisko senatu było natomiast bliskie koncepcji króla: unii jako równorzędnego związku obu państw. Sądzę, iż prócz niewątpliwego wpływu autorytetu monarszego, elity senatorskie zdawały sobie sprawę z ogromnej i zwiększającej się z dnia na dzień odpowiedzialności za ochronę granic, w tej dobie coraz gorętszych. Według obserwacji Ludwika Kolankowskiego, w ciągu dziesięciu lat wojen w tym rejonie wydano na ten cel ze skarbu koronnego niebagatelną kwotę ponad dwóch milionów florenów.

Można powiedzieć, iż poglądy szlachty zgromadzonej w izbie poselskiej

stopniowo ewoluowały w kierunku stanowiska króla i senatu.

Dla rycerstwa koronnego zaangażowanego w reformy ruchu egzekucyjnego unia miała być nie jedynym, ale najważniejszym elementem programu unifikacji państwa. W skład tego planu wchodziło także włączenie Prus Królewskich do wspólnej działalności parlamentarnej, ujednolicenie praw mazowieckich z koronnymi, a generalnie: dążenie do unifikacji prawnej państwa. Unia nie mogła więc być i nie była ukoronowaniem ruchu egzekucyjnego. Pozostawała także do załatwienia sprawa przyszłego kształtu sądownictwa apelacyjnego i tzw. *compositio inter status* - określenie wzajemnych relacji między stanem duchownym a świeckim. Szlachcie zależało szczególnie w tej kwestii na zrzuceniu na duchowieństwo części odpowiedzialności finansowej państwa za obronę granic.

W koncepcji szlachty zaangażowanej w ruch egzekucyjny unia była więc problemem ważnym, być może najważniejszym. Akt ten nie miał być jednak końcem czy ukoronowaniem ruchu egzekucyjnego, nie było wtedy przecież wiadomo, że monarsze pozostały jedynie trzy lata panowania.

### ***Jakie było stanowisko wobec unii Wielkiego Księstwa Litewskiego?***

Aby je zrozumieć, należy zwrócić przede wszystkim uwagę na odmienną pozycję elit politycznych w Polsce i w Wielkim Księstwie w przeddzień unii. Litewski "naród polityczny", a więc społeczność aktywna politycznie, miała charakter elitarny. Tymczasem polska szlachta budowała swą podmiotowość polityczną z jednej strony przez prawa, swobody i wolności, poczynając od przywileju koszyckiego, po konstytucję 1505 roku, z drugiej - przez aktywny udział w systemie przedstawicielskim: sejmach i sejmikach.

Koronny "naród polityczny" to w tym momencie cały stan szlachecki.

Rycerstwo litewsko-ruskie nie wywalczyło sobie prawa do równości w systemie funkcjonowania państwa. Wspomniane działania monarchy, wspomagające emancypację szlachty litewskiej, były świeżej daty. Proces ten miał szansę na pozytywny skutek w sprzyjających warunkach - przy wzmocnieniu pozycji sejmików, wsparciu ze strony króla, okrzepnięciu ekonomicznym szlachty, przy osłabieniu pozycji możnych - ale nie mogło to nastąpić z dnia na dzień. Nie bez znaczenia jest siła elity litewsko-ruskiej, wynikająca z jej tradycji, pozycji gospodarczej i wzajemnych związków. Można więc powiedzieć, że stosunek Wielkiego Księstwa Litewskiego do unii z Polską określiły głównie elity możnowładcze tego państwa. Bojarzy w osobach swych nielicznych przedstawicieli uczestniczyli wprawdzie w rozmowach o unii podczas sejmów egzekucyjnych, ich głosu nie było jednak słychać.

Przedstawiciele elit litewskich uczestniczący w dyskusjach nad kształtem unii zmieniali stanowisko nawet podczas jednego sejmiku. Jednym z przykładów może być zachowanie delegacji litewskiej podczas obrad sejmiku 1563/1564 roku. Mikołaj Krzysztof Radziwiłł, wypowiadający się w imieniu państwa litewskiego, skłaniał się do zajęcia stanowiska kompromisowego. Gdy jednak w pierwszych dniach lutego 1564 dotarła do Warszawy wiadomość o zwycięstwie wojsk litewskich nad Moskwą pod Ułą - co nastąpiło 26 stycznia - zastrzył stanowisko, dążąc do jak najszerzej niezależności Wielkiego Księstwa. Lęk przed uzależnieniem państwa litewskiego od Korony jest najistotniejszym czynnikiem utrudniającym porozumienie między przedstawicielami obu stron na sejmach przedunijnych. Widać to przy

okazji każdego diskutowanego problemu związanego z przyszłym związkiem.

Jednym z licznych przykładów trudności w dziele budowy unii może być dyskusja nad wspólnym parlamentem na sejmie 1563/1564 roku. W początkowej fazie obrad Litwini chcieli wprowadzić wspólnego sejm, ale ich przedstawiciele mieliby nań przyjeżdżać tylko wówczas, gdy tematyka obrad dotyczyłaby spraw litewskich. Chcieli też zachować własny, odrębny sejm. Sprawę przeciął król, wykluczając takie rozwiązanie i mówiąc o konieczności zwołania jeszcze tylko jednego odrębnego sejm litewskiego dla uściślenia spraw związanych z unią i przyjęcia zasad reformy administracyjnej, wprowadzającej w Litwie sieć sejmików powiatowych. Król na tymże sejmie pomógł także rozwikłać kontrowersję wokół dążeń delegacji litewskiej do stworzenia dwóch Rzeczypospolitych: Polskiej i Litewskiej. Od jego wotum, ogłoszonego na wspólnym posiedzeniu rad litewskich i polskich 12 lutego 1564 roku, zaczyna się mówić o Rzeczypospolitej jako wspólnocie Litwy i Korony.

### ***Jak doszło do zerwania wspólnych obrad przez Litwinów podczas sejm unijnego w 1569 roku?***

Na kolejnych sejmach egzekucyjnych sprawa unii pojawiała się w dyskusji, choć nie na każdym z nich obecni byli Litwini. Ostatecznie zgodzono się, iż sejm, który miał rozpocząć się 23 grudnia 1568 roku, będzie ostatecznie kończył długotrwałe prace nad kształtem przyszłego związku. Witanie króla rozpoczynające obrady sejmowe datowane jest na 20 stycznia 1569 roku. Od początku obrad istniało wspólne stanowisko, iż nadszedł najwyższy czas na zakończenie tej sprawy. Kształt unii zaakceptowany - wydawałoby się - przez obie strony znalazł wyraz w wotum ogłoszonym przez Zygmunta Augusta i szeregu głosów obu stron. Mimo

to w marcu 1569 roku reprezentacja litewska wyjechała, sądząc, iż opuszczenie przez nich obrad zawiesi bądź przekreśli dotychczasowe prace nad unią. Śledząc tok sejm lubelskiego nie sposób dostrzec konkretnych przyczyn tego nagłego zwrotu. Głównym pretekstem podziałów między elitami koronnymi i litewskimi podczas obrad począwszy od lutego-marca było to, że interpretując unię Polacy powoływali się na dawne traktaty unijne, w mniemaniu Litwinów obrażające poczucie niezależności ich państwa, przekreślające suwerenność Litwy. Gwarancje wolności i równorzędności obu państw nadane w ostatecznym kształcie tekstu unijnego nie były dla Litwinów wystarczające. Nie zadowolili ich także deklaracja, iż dobra gospodarskie w Wielkim Księstwie Litewskim nie będą podlegały rewizji konstytucji egzekucyjnych, wynikających z uchwał koronnych.

7 marca 1569 roku Zygmunt August wydał uniwersał przedstawiający dotychczasowy przebieg obrad i stwierdzający, iż wyjazd części obradujących nie zwalnia go od obowiązków monarszych. Wezwał wobec tego jeszcze raz Litwinów do powrotu. Nie doczekawszy się reakcji z ich strony, między marcem a czerwcem 1569 roku włączył do Korony ziemie sporne od czasu panowania Władysława Jagiełły: Podlasie, Wołyń, Bracławszczyznę i Kijowszczyznę. Do 1 lipca 1569 roku większość możnowładców litewsko-ruskich posiadających na tych terenach swoje ziemie przyjechało do Lublina, by zaprzysiąc unię.

Patrząc z punktu widzenia interesów Polski, przyłączenie Wołynia i Kijowszczyzny niesło ze sobą duże obciążenie finansowe państwa przez wydłużenie granicy na południowym wschodzie, narażonej na najazdy tatarskie. Dostrzegali to już podczas obrad sejm lubelskiego senatorowie. Inaczej te kwestię widziała szlachta koronna. Szlachcic

województwa kaliskiego wspominając w 1573 roku, już po śmierci króla, wydarzenia z wiosny 1569 roku, pisał: "Nam stanom rycerskim, przez nasze rozrodzenie [...] obmyśliwać to trzeba, żebyśmy w stan gburski się nie obrócili [...] bo i w tych tam państwach litewskich przedtem od Księstwa odjętych [...] mogłoby być opatrzenie [...] tak, iż ta zdrobniałość nasza, mogłaby się zaś zapomóc"... Jak więc widzimy, sprawa inkorporacji tych ziem traktowana była przez stronę koronną w sposób zróżnicowany. Zróżnicowane było też moim zdaniem stanowisko strony litewskiej. Rycerstwo litewskie zrównane w prawach ze szlachtą koronną miało powody do satysfakcji. Trudno powiedzieć to samo o litewskim możnowładztwie.

Przez następne dziesięciolecia wydarzenia te będą się kładły cieniem na wspólne działania obu państw, a także na wielkie dzieło unii, zabezpieczającej - przynajmniej na jakiś czas - oba

państwa przed groźbą ekspansji Moskwy.

Prof. **Ewa Dubas-Urwanowicz** - pracownik Instytutu Historii Wydziału Historyczno-Socjologicznego Uniwersytetu w Białymstoku, zajmuje się m.in. badaniami nad funkcjonowaniem instytucji parlamentarnych, polityką w Rzeczypospolitej XVI-XVIII wieku w kontekście dziejów europejskich, możnowładztwem, magnaterią, arystokracją w państwie polsko-litewskim na tle dziejów elit Europy Środkowo-Wschodniej. Autorka m.in. pracy *Koronne zjazdy szlacheckie w dwóch pierwszych bezkrólewicach po śmierci Zygmunta Augusta* (1998).

K. G.

Ilustracja: akt Unii Lubelskiej, Wikimedia Commons, domena publiczna.



## Wizy turystyczne dla Polaków



W okresie urlopowym często decydujemy się na atrakcyjne okazje cenowe lotów czy wakacje last minute. W planowaniu odpoczynku często zapominamy, że do niektórych krajów koniecznością jest uprzednie wyrobienie wizy. HomeToGo.pl przygotowało zestawienie wybranych państw, które wymagają wiz turystycznych dla Polaków, z podziałem na: wydające wizy jedynie w ambasadzie, w miejscach granicznych i na lotniskach lub oferujące e-wizy.

– *Starania o wizę w ambasadach lub konsulatach są często żmudnym procesem: wypełnianie wniosków, uiszczenie opłaty wizowej, rozmowa z konsulem i oczekiwanie na wizę – komentuje Marta Górską, Project Manager PR&SEO HomeToGo. – Musimy liczyć się z opcją odmowy przyznania nam wizy, co wiąże się ze składaniem odwołania czy wręcz rezygnacją z podróży. Są to działania czasochłonne, warto więc odpowiednio zaplanować je wcześniej jadąc do USA, Chin czy Rosji. Procedury te przyspieszyło i ułatwiło już wiele krajów – w Egipcie, Sri Lance czy Nepalu wizę wyrobimy od ręki na lotniskach i punktach granicznych. Z kolei Australia, Turcja czy Indie wprowadziły możliwość elektronicznego wyrobienia wiz.*

## **Kraje, w których wizę uzyskamy w ambasadzie**

### **USA**

Wizę wydaje konsul Stanów Zjednoczonych w Polsce, na podstawie wywiadu w konsulacie. O długości naszej wizy decyduje konsul: czy będzie ona ważna przez pół roku, 3, 5 czy nawet 10 lat. Warto pamiętać, że wiza uzyskana w konsulacie nie gwarantuje wjazdu do USA. Ostateczną decyzję o pobycie w USA podejmuje bowiem urzędnik kontroli granicznej, który raz jeszcze sprawdza cel pobytu i ważność dokumentów.

**Ważność paszportu:** powinna o 6 miesięcy przekraczać planowaną datę opuszczenia kraju.

### **Chiny**

30-dniową wizę turystyczną wydaje konsul ChRL w Polsce. Istnieje też prawo do 6-dniowego pobytu bez obowiązku posiadania wizy dla podróżujących tranzytem. Poruszamy się wówczas w obrębie trzech wyznaczonych obszarów Chin, bez możliwości przekraczania ich granic.

**Ważność paszportu:** powinna o 6 miesięcy przekraczać termin wygaśnięcia wizy.

### **Rosja**

Elektroniczny wniosek wizowy należy wydrukować za pomocą strony internetowej, dostarczyć ją do Centrum Wizowego i umówić się na spotkanie w konsulacie. Pamiętajmy, że po przybyciu do Rosji mamy obowiązek zameldowania się w organie terytorialnym Federacyjnej Służby Migracyjnej Rosji. Pasażerowie promów i statków wycieczkowych mogą przebywać bezwizowo w Sankt Petersburgu przez 72 godziny, jeśli są członkami zorganizowanej wycieczki turystycznej.

**Ważność paszportu:** powinna o 6 miesięcy przekraczać planowaną datę opuszczenia kraju.

## **Kraje, w których wizę wyrobimy przez Internet**

### **Australia**

Turyści wyrabiają bezpłatną e-wizę za pośrednictwem strony internetowej. Pamiętajmy jednak, że na lotniskach pasażerowie przechodzą losowe skanowanie. Jest to element bezpieczeństwa lotniczego, niezagrażający zdrowiu i nienaruszający prywatności pasażerów.

**Ważność paszportu:** powinna przynajmniej o 6 miesięcy przekraczać datę wjazdu do kraju.

## **Indie**

Posiadacze e-wizy mogą przekroczyć granicę Indii tylko na terenie 16 portów lotniczych. Opuszczenie kraju z e-wizą jest możliwe w dowolnym punkcie granicznym, z wyłączeniem obszarów ograniczonego ruchu turystycznego, na które trzeba uzyskać osobne pozwolenie.

**Ważność paszportu:** powinna przynajmniej o 6 miesięcy przekraczać datę wjazdu do kraju.

## **Turcja**

Polscy turyści mogą nabyć e-wizę na stronie internetowej Evisa. Podczas procesu pobierana jest opłata w wysokości 20 USD. O wizę możemy starać się również na lotnisku, po przylocie do Turcji. Wiąże się to jednak z droższymi opłatami, w wysokości 30 USD, 25 EUR lub 20 GBP.

**Ważność paszportu:** powinna o co najmniej 6 miesięcy przekraczać datę wjazdu do kraju.

## **Kraje, w których wizę wyrobimy na lotnisku**

### **Egipt**

Polscy turyści mogą kupić egipską wizę turystyczną na lotnisku, bezpośrednio po przylocie do Egiptu. Wiza ta uprawnia do jednokrotnego wjazdu i 30-dniowego pobytu na terenie Egiptu. Jest to koszt ok. 25 USD.

**Ważność paszportu:** powinna przynajmniej o 6 miesięcy przekraczać datę wjazdu do kraju.

### **Sri Lanka**

Wizę na Sri Lance dostajemy od ręki na lotnisku, a opłatę uiszczamy w dolarach amerykańskich. Sri Lanka ma również możliwość wyrobienia e-wizy przez stronę internetową Eta. W obu przypadkach koszty wynoszą ok. 30-40\$. Po przyjeździe wypełniamy dodatkowo Arrival Card.

**Ważność paszportu:** powinna przynajmniej o 6 miesięcy przekraczać datę wjazdu do kraju.

## Nepal

Wizę uzyskamy w wybranych punktach granicznych lub na lotniskach. Turyści planujący wyprawę himalajską w autonomicznym regionie Mustang, płacą dodatkowo min. 700 USD od osoby za tydzień pobytu. Nieuiszczenie tej opłaty może skutkować 1 miesiącem więzienia.

**Ważność paszportu:** nie powinna być krótsza niż termin ważności wizy.

stołeczna  
**estrada**  
www.estrada.com.pl

PREZYDENT M.ST. WARSZAWY  
ZAPRASZA NA UROCZYSTOŚCI



## Japońska ikona luksusu



Można było kupić ją tylko w Japonii. Łączyła elementy tradycji z najnowszymi technologiami. Luksusowa Toyota Century obchodzi 50. urodziny i dokładnie przez pół wieku pozostała w produkcji.

Czym zastąpić Cadillaca?

Ambicją każdego producenta samochodów jest obecność w segmencie ultraluksusowym, zwanym także F+. Limuzyna dla koronowanych głów i VIP-ów jest miarą sukcesu marki. To wyróżnienie i prestiż zwykle odwrotnie proporcjonalny do skali produkcji. Przez całe dekady synonimem najwyższego

luksusu w motoryzacji był Mercedes, Rolls-Royce, Packard i Cadillac, a w krajach komunistycznych – ZIS i ZIL. W pierwszej połowie lat 60. na miano najbardziej luksusowego samochodu świata zasługiwały Mercedes 600 Pullman oraz Rolls-Royce Phantom V. Wielcy tego świata korzystali często z limuzyn rodem z USA. Na tym tle japońscy producenci wypadali blado.

Po zakończeniu wojny cesarz Hirohito przesiadł się do Cadillaca serii 75. Japońscy oficjele czuli frustrację, jeżdżąc samochodami wyprodukowanymi przez zwycięską Amerykę. Dla wychowanych w kulcie kodeksu Bushidō urzędników motoryzacyjny „American Dream” rodem z Detroit zaledwie kilka lat po wojennej klęsce miał gorzki smak poniżenia. Mieli jednak świadomość, że dla rodzącego się wówczas przemysłu motoryzacyjnego priorytetem były małe kei-cars.

Pod koniec lat 50. inżynierowie wiodących koncernów z Kraju Kwitnącej Wiśni pracowali już nad prototypami nowych limuzyn. W październiku 1963 Mitsubishi zaprezentowało model Debonair. Dwa lata później debiutowały niemal równolegle aspirujące do segmentu Premium Nissan President oraz Toyota Crown Eight.

#### VG20 – auto trzech jubileuszy

Na 14 lutego 1967 r. władze koncernu Toyota planowały obchody 100. urodzin Sakichi Toyody, założyciela firmy Toyoda Spinning and Weaving Co. Ltd., która zapoczątkowała istnienie koncernu Toyota. W sierpniu tego samego roku świętowano 30-lecie Toyota Motor Corporation założonej w 1937 r. Trzeci jubileusz przypadał na kwiecień 1968 roku – stulecie tzw. Restauracji Meiji (panowanie cesarza Mutsuhito), gdy Japonię uznano mocarstwem liczącym się we współczesnym świecie. Prace nad luksusową limuzyną godną tak ważnych jubileuszy, przeznaczoną dla japońskich władz, rozpoczęto w 1961 r.

Pierwszym etapem na drodze Toyoty do segmentu Premium była Toyota Crown Eight, zaprezentowana 20 kwietnia 1964 r. w Tokio. Pod długą maską cicho szumiała widlasta „ósemka” o pojemności 2,6 litra i mocy 115 KM. Ten pierwszy w historii japońskiej motoryzacji 8-cylindrowy silnik z aluminium powstał we współpracy z

firmą Yamaha. Crown Eight zyskał świetną opinię wśród rządowych i korporacyjnych użytkowników. Był trwały, szybki i niezawodny. Jednak od auta 3 jubileuszy nazwanego później Century oczekiwano znacznie więcej. Na bazie jednostki V skonstruowano silnik 3V. Pojemność zwiększono do 2981 cm<sup>3</sup>, a moc do 150 KM przy 5200 obr./min.

W samochodzie zamontowano gaźnik Aisan DQ30A oraz elektryczną pompę paliwa. Zawieszenie przednie stanowiły trapezowe wahacze poprzeczne, zaś z tyłu pojawiła się sztywna oś, stabilizator oraz zapewniające wysoki komfort jazdy zawieszenie pneumatyczne. Seryjnym rozwiązaniem była 3- lub 4-biegowa przekładnia manualna, jednak bardzo popularnym rozwiązaniem okazał się dostępny za dopłatą, trójstopniowy automat Aisin Seiki z dźwignią selektora przy kolumnie kierowniczej. W przypadku manualnej skrzyni 4-biegowej pojazd oferowano z dwoma osobnymi siedzeniami z przodu, w pozostałych wariantach – z 3-osobową kanapą, typową dla aut z Detroit. Inny amerykański akcent w Century to cztery hamulce bębnowe z podciśnieniowym wspomaganie.

Seryjnie montowano opony diagonalne 7.45-14” na stalowych obręczach z chromowanymi ozdobnymi kołpakami. Stylizacja limuzyny o symbolu VG20 była stonowana, lecz elegancka, spełniająca specyficzne wymagania japońskiego klienta. Ktoś doda: to styl konserwatywny nawet jak na połowę lat 60.! Lecz uznane za najbardziej wytworne na świecie garnitury z Saville Row mają ponadczasowy krój, pozbawiony pozornie atrakcyjnego blachtru i elementów krótkotrwałej mody. Samonośne nadwozie flagowej limuzyny miało 498 cm długości i 189 cm szerokości. W warunkach zakorkowanych japońskich aglomeracji ważąca ok. 1,8 tony Toyota Century była ogromnym samochodem.

Tylko dla premiera i ambasadora

Prototypy VG20 testowano jesienią 1966 r., a kilka miesięcy później zmontowano pierwsze egzemplarze przedseryjne. Oficjalny debiut Toyoty Century miał miejsce 26 października 1967 r. podczas 14. edycji Tokyo Motor Show w kompleksie wystawowym Harumi. Ponad 1,4 miliona zwiedzających z zachwytem oglądało flagowy model koncernu Toyota. Niewiele z 655 wystawianych wówczas aut wzbudziło tak ogromne zainteresowanie. Japońska prasa motoryzacyjna z niekłamana dumą opisywała Century jako „szczyt technologii i luksusu”.

Podczas testów seryjne egzemplarze rozwijały 170 km/h, ale od prędkości ważniejszy był prestiż i perfekcyjna jakość wykonania. Wprawdzie administracja cesarska Kunai-chō preferowała limuzyny Nissan President, lecz egzemplarze Toyota Century trafiły także do garaży pałacu Chiyoda. Limuzyną jeździli wysokiej rangi przedstawiciele japońskiego rządu: ministrowie, sekretarze stanu oraz ambasadorzy Japonii w strategicznych placówkach m.in. w Waszyngtonie, Londynie i Szanghaju. Naturalnie Toyota Century była służbową limuzyną Eiji Toyody, prezesa koncernu Toyota Motor Corporation.

Auto w standardzie posiadało klimatyzację, radio i elektrycznie opuszczane szyby. Oferowano tapicerkę z wyselekcjonowanych gatunków skóry, lecz wśród japońskiego establishmentu większą popularnością cieszyła się konfiguracja z welurem i koronkami. W Japonii wykonane ręcznie, koronkowe pokrowce na siedzenia są symbolem najwyższego prestiżu, a szlachetny welur jest ceniony wyżej od skóry, której zapach wydaje się wielu Japończykom nieprzyjemny. Pasażerowie tylnej kanapy byli chronieni od ciekawskich spojrzeń zasłonkami w oknach. Pierwsza generacja Century (1967–97) była dostępna w kolorze

czarnym, a na specjalne zamówienie można było otrzymać auto w odcieniu metalizowanym Palmela Grey lub granatowym Zenith Blue. Jednak lecz większość klientów wybierała czerń jako kolor najlepiej dopasowany do funkcji limuzyny. Toyota Century była oferowana wyłącznie na rynku japońskim.

#### Zmiany w konserwatywnym stylu

Toyota Century zmieniała się w sposób dyskretny. Jesienią 1973 r. zaprezentowano zmodernizowaną serię VG21. Pojemność silnika o symbolu 4V-U wzrosła do 3,4 l, a moc – do 180 KM. Z przodu pojazdu zastosowano hamulce tarczowe Summitomo/Dunlop. Z tyłu wprowadzono powiększone klosze lamp. Nowością był także elektromechaniczny centralny zamek.

Dwa lata później zrezygnowano z manualnej skrzyni biegów, a ogumienie diagonalne zastąpiono oponami radialnymi. Interesującym eksperymentem była Toyota Century Gas Turbine Concept GT45 zasilana turbiną gazową i silnikiem elektrycznym. Proto-hybryda napędzana naftą lotniczą (kerosen) rozpędzała się do 160 km/h.

Kolejna dekada to czas Century VG40, gdy wprowadzono spełniający zastrzeżenia normy emisji spalin czterolitrowy silnik 5V-EU z elektronicznym wtryskiem paliwa. Montowano go w latach 1982–87. Wielkim, choć niewidocznym z zewnątrz symbolem rewolucji technologicznej było zastosowanie światłowodów w instalacji elektrycznej pojazdu! W 1982 r. wprowadzono większą, prostokątną atrapę chłodnicy oraz nowe zderzaki z wbudowanymi światłami przeciwmgielnymi. Lata 80. to także nowy kokpit z elektronicznymi wyświetlaczami.

W 1990 r. zaprezentowano wersję Century Long (L) VG45 z przedłużonym nadwoziem. Mimo debiutu Toyoty Celsior,

w USA i Europie znanej jako Lexus LS400, w Japonii Century pozostał topowym modelem koncernu.

Druga generacja: koronki i cyfrowa telewizja

18 kwietnia 1997 r. w Tokio zaprezentowano II generację Toyoty Century (E-GZG50). Linia karoserii zmieniła się w niewielkim stopniu, lecz długość auta wzrosła do 527 cm. Rewolucją był 5-litrowy, 12-cylindrowy silnik o mocy 280 KM. Jednostka o symbolu 1GZ-FE posiadała po dwa wałki rozrządu do każdego rzędu cylindrów w układzie widlastym. Współpracowała z nią 4-stopniowa automatyczna przekładnia Aisin Warner, obsługiwana dźwignią w podłodze lub przy kierownicy. Od 2005 r. zastąpił ją sterowany elektronicznie, 6-stopniowy automat Super-ECT.

Obok poduszek powietrznych, ABS, systemu kontroli trakcji TRC oraz dedykowanego systemu audio, wprowadzono także inne udogodnienia: elektryczne otwieranie drzwi i przesuwanie kanapy z funkcjami podgrzewania i masażu, klimatyzację wielostrefową, łącze USB, system nawigacji Toyota G-BOOK i cyfrowy telewizor z tunerem. Z poprzedniego modelu pozostały narzutki i zasłonki tylnych okien wykonane ręcznie z białych koronek. Cena bazowej wersji wynosiła 11,445 mln jenów (ok. 86 tys. euro).

Na dworze dynastii Heisei

W 2006 r. Toyota Century Royal zastąpiła na cesarskim dworze wysłużone, 30-letnie limuzyny Nissan Prince Royal. Nowe samochody zostały wykonane na specjalne zamówienie dworu cesarza Akihito i

cesarzowej Michiko. Ich nadwozie ma długość ok. 6 metrów, a moc opancerzonych, a więc znacznie cięższych aut wynosi 350 KM. Przy drzwiach zamontowano specjalne stopnie z polerowanego granitu. Podsufitkę wykonano ze specjalnego papieru ryżowego, zaś tapicerkę z ręcznie tkanego weluru. To symboliczne nawiązanie do czasów, gdy Toyota produkowała krosna tkackie. Cena każdego z egzemplarzy wynosi ponad pół miliona dolarów. Zamiast tablic rejestracyjnych cesarska limuzyna posiada godło Japonii, Kiku-no Gomon – złotą chryzantemę o 16 płatkach. Wiele egzemplarzy Century jest nadal używanych przez wysokiej rangi urzędników cesarskich oraz ochronę władcy.

50 lat produkcji

Druga generacja Century była montowana w centrum badawczo-rozwojowym Higashi-Fuji Technical Center w Susono/Shizouka. Choć Japonię kojarzymy z robotami przemysłowymi i wielkoseryjną produkcją, flagowa Toyota była budowana ręcznie. Dość wspomnieć, że blachy nadwozia polerowano bez użycia maszyn, a lakier natryskiwano w kilku warstwach. Jesienią 2016 r. auto było dostępne w kolorach Eternal Black, Cellini Blue Mica, Demure Blue Mica, Glorious Grey i Radiant Silver. Katalogowa cena modelu 2017 to równowartość 130 tys. dolarów.

Produkcję Toyoty Century zakończono w lutym 2017 r., dokładnie po 50 latach od debiutu. Niedostępna poza Japonią limuzyna cieszy się statusem pojazdu kultowego, a każdy egzemplarz na rynku, np. odkupiony z ambasady, błyskawicznie znajduje nabywcę. Jeszcze nie wiadomo, czy japońskie elity doczekają się następcy tego modelu.

# KUCHNIA POLSKA

tradycja - smak - współczesność

Zachwycająca kombinacja smaku  
i tradycyjnej polskiej sztuki kulinarnej



**Zapraszamy do Restauracji Ibiza**

ul. Główna 100, Ludwikowice Kłodzkie, tel. 746604001